STR. 3 - SONDAŻ - JEDZIEMY NA WCZASY ● STR. 5 - STRZELNICA CZYNNA NON STOP ● STR. 9 - RECEPTA NA I LIGĘ

O SPRAWACH KSIĘŻYCOWYCH - STR. 4

Pierwszy człowiek na Księżycu! Neil Armstrong w chwilę po zejściu po drabince na powierzchnię Srebrnego Globu. Obok widoczna „łapa" pojazdu księżycowego LM.

CAF — Photofax

Grupa ABC Andrzeja Nebeskiego po festiwalu opolskim na pewno wyląduje w czołówce naszego beatu. Pierwszy z prawej — znakomity organista Andrzej Mikołajczak.

Fot. Leopold Dzikowski

O POLSKIEJ MUZYCE MŁODZIEŻOWEJ

NA STR. 10

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Wiadomości

nr 30 / 643
Wrocław, 27 lipca 1969 r. Cena 2 zł

tygodnik społeczno polityczny

WEEKEND U BRAM PIEKIEŁ

Zofia Kielan

Repertuar jest zasobny ponad wszelką wątpliwość. Znajdujemy tu bowiem powiedzonka nadające się na każdą okazję. Bezpretensjonalne: „no to cyk!", swojskie: „do dna!", troskliwe: „ Najieszego!", czy „za tych, co na morzach!", wypowiadane z niemałą rozwagą: „no to słup w ten głupi dziób!", niecierpliwe: „chlusniem, bo uśniem!" czy pełne bezbrzeżnego optymizmu: „pijak pije, pijak ma, pijakowi Pan Bóg da!".

Biesiadnicy trwają na swych posterunkach niezmordowanie, a kiedy się im koncept wyczerpie, gdy rozmowy przestaną się kleić, wtenczas rozlewają skąpe resztki alkoholu i wznoszą nimi „strzemiennego", by wreszcie pójść sobie tam, skąd przybyli...

Jedni, drogę powrotną pokonują o własnych, jakże niepewnie stąpających nogach. Inni? O tych innych właśnie traktuje cały artykuł.

RAPORT W SPRAWIE ŚMIERCI

Najwyraźniej poruszony był tym wszystkim, co się stało, nawet sam pan sędzia, chociaż ze swego miejsca, tu za stołem, na sali rozpraw, pełniąc tak długo swój zawód, zdążył zobaczyć już niejedno i nauczył się rozstrzygać o ludzkich problemach, zachowując swój zwykły, nie pozwalający zeń odczytać niczego zupełnie, wyraz twarzy. Wielekroć zwracał się on do oskarżonego i domagał zeznań o okolicznościach, już poprzednio zresztą, w sposób wyczerpujący wyjaśnionych. Wertował niecierpliwie akta...

Henryk J. Oskarżono go o spowodowanie w dniu 17 marca br. na szosie, niedaleko wsi Radwanica, wypadku samochodowego. Wracał wówczas od swoich znajomych pijany. Trunek sparaliżował na tyle refleks, iż nie był on w stanie zapanować nad kierownicą. Nowa simca, prezent ofiarowany przez ojca stale mieszkającego we Francji, zamiast wyminąć ciężarówkę, zaparkowaną w sposób prawidłowy u skraju szosy, zderzyła się z jej lewym skrzydłem. Pojazd osobowy wtedy przewrócił się na dach i poślizgiem przejechał przez całą szerokość szosy, aż do przeciwległego krawężnika, lecz w tym miejscu nie zatrzymał się. Odbił się od krawężnika i szorując swym dachem asfalt szosy, sunął z niesamowitym jazgotem na sam środek traktu.

W tym czasie nadjeżdżał z Wrocławia Stanisław S. Odwoził on na motorze, z pracy do domu swoją żonę. Simca najechała na nich. Mężczyzna utracił przytomność, ale lekarzom, którzy przyjechali w karetkach pogotowia — udało się go ocucić. Nie przyniosła niestety żadnych wyników próba przywrócenia życia Monice S.

Winowajca przysłuchiwał się przebiegowi rozprawy ze zwisłą głową. Oszołomiony, miejscami wywierający wrażenie, iż nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego, co się wokół niego dzieje. „W kolizję z prawem wszedłem mimo woli" — powtarzał z uporem.

WYPADKI SPOWODOWANE PRZEZ ALKOHOL! Plaga pociągająca za sobą sporo ofiar śmiertelnych! Plaga, których rozmiarów nie zawsze jesteśmy w stanie sobie uświadomić a więc może teraz, drodzy Państwo.

DWA ŁYKI (STATYSTYKI)

W samym tylko roku 1968 nietrzeźwi kierowcy spowodowali na Dolnym Śląsku 291 kraks. Zginęło w nich 31 osób, a 252 dalsze, z mniej lub bardziej groźnymi urazami, przewiozły karetki pogotowia do szpitali. Urazy odniesione w tych wypadkach są często tak silne, że ofiary skazane będą na kalectwo do końca życia.

Rok wstecz (spójrzmy do statystyk, by zyskać jakąś skalę porównawczą) — wypadków drogowych wywołanych przez kierowców „pod muchą" było na Dolnym Śląsku 219. Ofiar śmiertelnych było w tych wypadkach 26. Innych ofiar, potłuczonych, niezdolnych do pracy, wymagających długotrwałej rekonwalescencji, która nie zawsze — jak napisaliśmy wyżej, może zagwarantować całkowity powrót do zdrowia — 191.

Dwa lata temu miało z tego powodu miejsce 188 kraks. Utraciły w nich życie 22 osoby. Były one przyczyną kalectw, obrażeń dla 143 dalszych.

Pijaństwo, a zwłaszcza pijaństwo ludzi kręcących kółkiem kierownicy jest więc rzeczywiście plagą. Walkę toczy z nią milicja, aktywiści Towarzystwa Przeciwalkoholowego i Towarzystwa Trzeźwości Transportowców.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

NA OSTRZU NOŻA

Rafał Szaruga

TO NAWET BARDZO WYGODNIE. można ich imieniny uhonorować ryczałtem, za jednym zamachem wspólną piosenką w „koncercie życzeń" w tym samym dniu 15 października...

Zaskoczyła mnie mocno ta towarzyska introdukcja. Szliśmy przecież do hal, na produkcję, między tokarki, frezarki i baterie hartownicze. Mam rozmawiać z ludźmi, którzy mi ponoć wytłumaczą, jak fabryka chce rozwiązać swe najpoważniejsze problemy z kategorii „na ostrzu noża". A tu mi za wstępną prezentację: z kim zacz w wiedzę o fabryce wejdę, ma starczyć ciekawostka, że mają tego samego świętego pańskiego w kalendarzu.

Ale Edward Rosiakowski, I sekretarz POP, ciągnie dalej całkiem poważnie, właśnie w sensie, żebym wiedział dobitnie „z kim zacz":

— Poznacie naszych trzech fabrycznych Tadeuszów, których imieniny załoga ma powody uważać za swoją sprawę **familijno-publiczną.**

I

Nie dziwię się więc już na zapas, gdy pierwsze kontakty z tymi TRZEMA, nawiązują mi się w dość osobliwych sytuacjach. **Tadeusza I — Pożogę**, zastaję gdy kreśli na mapie trzy różnokolorowe linie. Żółta biegnie od Florydy w USA, czerwona z Saratowa w ZSRR, trzecia, najkrótsza, niebieska z Lipska w NRD. Najkrótsza, bo wszystkie trzy zbiegają się w punkcie, w którym rozpoznaję Jelenią Górę. Mapa zaś jest konturowa świata, taka poglądowa mapa dla wprawek geograficznych ucznia z podstawówki. Ale przecież po drodze dowiedziałem się, że z cenzusem podstawówki — to Pożoga dwanaście lat temu rozpoczynał w fabryce „przyuczenie na ostrzarza", i że w tych dwunastu latach zmieścił później bez opuszczenia tokarki — dyplom technikum mechanicznego, i jeszcze w tym samym trybie „przy ostrzu noża" — cenzus technikum ekonomicznego. Więc dziwię się, po co — u licha! — podwójnemu technikowi sztubackie wprawki geograficzne kolorowymi kredkami?

Tadeusz II — Bielat, tokarz znamienity, onże laureat plebiscytu na „najlepszego kolegę i pracownika", z aktorskim zacięciem prezentuję mi mimiczno-plastyczną scenkę, jak to automobilista ongiś zapuszczał wielgachną korbą motor „Forda" model anno 1925... A ja chciałem usłyszeć o tocznilu stali szybkotnącej.

Tadeusz III — Kaleciński, jak mi powiedziano: mistrz rozruchu każdej tu nowości technicznej, uraczył mnie — jakomego jego doświadczeń z „chrzczenia produkcją" nowo urodzonych konstrukcji — dykteryjką, że trafił tu w 1945 roku i zakotwiczył się przez... łódź podwodną z „Kriegs-Marine".

A JEDNAK wszystkie te sytuacje nie na temat mojej wizyty, były jak najbardziej logicznie związane z tym... tematem. Temat brzmi: **JAKIMI METODAMI od dołu ZAŁOGA JELENIOGÓRSKIEJ FABRYKI NARZĘDZI chce rozwiązać dziś i w perspektywie przyszłej pięciolatki postawione „na ostrzu noża" przez II plenum KC partii ZADANIA INTENSYWNEGO ROZWOJU SWEJ FABRYKI I JEJ PRODUKCJI?**

II

Tu zaś zadania te są szczególnie i dosłownie „na ostrzu noża". Tu się bowiem wytwarza frezy, nawiertarki, rozwiertarki, NARZĘDZIA DO SKRAWANIA METALI. Jasne? Rynsztunek zasadniczy każdej maszyny, każdej fabryki, każdego przemysłu, który „robi" w metalu. Od ilości i jakości narzędzi zależy: ile i jak będzie się produkować w metalu w ogóle?

*** Z II plenum** wiedzieli: kraj będzie potrzebował dla zaplanowanego rozwoju jak najwięcej produkcji z metalu.

*** Z centralnego bilansu** potrzeb i możliwości, ze Zjednoczenia, wiedzieli: branża nie nadąża, a musi nadążyć za potrzebami przemysłu w produkcji narzędzi.

* Te pewniki przymierzyli w Jeleniej Górze do swoich **fabrycznych realiów.** Otrzymali wierzchołek najbliższy: w roku 1969 musieli odmówić zamówień na 50 milionów złotych.

To więcej, niż jedna trzecia tego, co produkują. A już rok temu analiza techniczno-ekonomiczna jako pewnik obiektywny dała im — niestety — tę wielkość produkcji 140 mln. zł jako kres możliwości mieszczących się w realiach przestrzeni i mocy produkcyjnych.

Ale to było przed II plenum. Czyli przed drogowskazem, jak nie ufać „obiektywnym" barierom możliwości. Jak szukać „subiektywnie", czyli od dołu, czyli okiem i rozumem załogi, robotnika, technika, inżyniera — rezerw, odwagi decyzji, inicjatywy.

GDZIE I JAK ZNALEZIONO TE REZERWY?

Zaczęto od doprowadzenia do każdego stanowiska roboczego wiedzy o tym: co masz, co jesteś winien, a co mieć możesz? Czytam taki elementarz umiejętności odczytywania własnych możliwości np. na wydziale tokarskim:

> **Pamiętasz? Zadania naszej fabryki wzrastają o 25,7 procenta, wydajność pracy chcemy podnieść o 10,5 proc. Zrozumiałeś, zgodziłeś się, widzisz w tym szansę zakładu. Tak, zadania trudne, a teraz zwaś — na twoim wydziale.**
>
> **Straty czasu wynosiły 4,3 proc. na braki poszło 113 godziny, kosztowało to fabrykę 11 mln złotych.**
>
> **Teraz zastanów się, gdzie możemy znaleźć rezerwy?**

Z takich analiz, prowadzonych od warsztatu, z urzędu — przez ekonomistów i techników, z sainicrząchności — przez aktywistów POP, Rad: Zakładowej i Robotniczej oraz koła SIMP, rodzą się wnioski, drogowskazy, tematy do zadania, które nosi tytuł: PLAN OD DOŁU.

Na przykład, wniosek z tamtych cyfr pt. „braki".

Tu musimy wrócić do Tadeusza I, czyli Pożogi i jego kresek na mapie. Linia czerwona ma hasło **„metoda saratowska"**, przy żółtej: **„Zero Defects"**, przy niebieskiej: **„Alles ohne Fehler".** Są to zebrane z najnowszej literatury doświadczenia metod o tym samym mianowniku: walka z usterkami w produkcji. Przymierzył Pożoga wszystkie do realiów jeleniogórskiej „Narzędziówki", wybrał najcelowsze, uzupełnił swoim projektem systemu „sterowania jakością". Założenie: jakości się nie wykontroluje, jakość trzeba wyprodukować. Przez przeobrażenie kontroli biernej — w czynną. W swym projekcie, już publikowanym w najnowszym biuletynie zakładowej informacji techniczno-ekonomicznej, Pożoga preferuje samokontrolę na każdym stanowisku pracy, w każdym momencie cyklu. Tu się efekty zakłada z awansowania robotnika o dalszy szczebel jako twórczy element tworzenia jakości, a steruje się elementami mogącymi wytworzeniu jakości przeszkadzać.

Rezerwy? Oczywiście. Można przecież deficyt narzędzi zaspokajać większą podażą, można — zmniejszeniem popytu. Bo narzędzi trwalszych, sprawniejszych — mniej będzie trzeba.

III

Tadeusz II., czyli Bielat nie dla dowcipu pokazywał wyczerpujący zakamarki korba „jak przy starym Fordzie, lub ręcznym magiu...". Ta korba znajduje się przy jego tokarce, ale tylko jako rekwizyt muzealny. Poprzednio służyła do podnoszenia pulpitu — masywnej płyty z elementem przy każdej operacji obróbki. Teraz — naciśnięcie guziczka i się mięsni zastępuje hydraulika. Bielat mówi: — Policzcie sobie tylko, że taki

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

22 VII 69

Święto Odrodzenia w Warszawie. Na zdjęciu: Fragment trybuny honorowej. Od lewej stoją: G. Husak, M. Spychalski, L. Breżniew, W. Gomułka, N. Podgórny, W. Jaruzelski, L. Svoboda, J. Cyrankiewicz, W. Stoph.
CAF — Czarnogórski — telefoto

Z uroczystości we wrocławskim KW PZPR: W imieniu odznaczonych przemawia członek Egzekutywy KW PZPR, I sekretarz KMiP w Wałbrzychu, Z. Balicki.
Fot. T. Drankowski

Fakty tygodnia

WARTOŚĆ GENEWY

PIĘTNASCIE lat temu w Genewie delegaci 4 wielkich mocarstw: ZSRR, ChRL, W. Brytanii i Francji oraz przedstawiciele Demokratycznej Republiki Wietnamu, Laosu, Kambodży i Wietnamu południowego podpisali tekst, którego fragment — palące aktualny — wart jest zacytowania. Oto brzmienie istotnej części punktu siódmego końcowej Deklaracji Konferencji Genewskiej przyjętej w dniu 21 lipca 1954 r.:

„Konferencja oświadcza, że jeśli chodzi o Wietnam, uregulowanie problemów politycznych, realizowane na podstawie poszanowania zasad niezawisłości, jedności i integralności terytorialnej, powinno umożliwić narodowi wietnamskiemu korzystanie z podstawowych swobód zagwarantowanych przez instytucje demokratyczne, które wyłonią się w wyniku powszechnych wolnych i tajnych wyborów, (...) Wybory powszechne odbędą się w lipcu 1956 roku pod kontrolą komisji międzynarodowej złożonej z przedstawicieli państw członków międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru".

Deklaracji końcowej Konferencji Genewskiej, której celem było zakończenie trwającej dziewięć lat kolonialnej wojny Francji przeciwko narodom Indochin, nie podpisała delegacja Stanów Zjednoczonych, kwestionując 13 — zresztą mało istotny — jej punkt. Wszelako w oddzielnym oświadczeniu przedstawiciel USA zaaprobował punkty od 1 do 12 włącznie, a więc również i punkt siódmy Deklaracji. Wśród pozostałych były takie, które zakazywały wprowadzenia do Wietnamu wojsk obcych i sprzętu oraz zakładania tam baz wojskowych państw obcych. Deklaracja zawiera także punkt podkreślający, że wojskowa linia demarkacyjna między Północą i Południem jest linią tymczasową, która w żadnym wypadku nie może być traktowana jako linia stanowiąca granicę polityczną lub terytorialną. W swym oświadczeniu delegat USA zobowiązał się uroczyście w imieniu rządu swego kraju, iż ten „powstrzyma się od groźby użycia siły w celu przeszkodzenia" urzeczywistnieniu postanowień Deklaracji.

Przypomnienie tych faktów po upływie lat piętnastu jest bardzo pouczające. Pozwala uzmysłowić sobie jak cynicznie i brutalnie Stany Zjednoczone złamały dane w Genewie słowo. Powód był jasny: sytuacja polityczna w Wietnamie pozwalała założyć z maksymalną dozą pewności, że przewidziane w Genewie powszechne wolne i tajne wybory wygrają patriotyczne i postępowe siły społeczne, skupione wokół przywódcy niepodległościowej i antykolonialnej walki narodu wietnamskiego — Ho Chi Minha.

Układy Genewskie przewidywały polityczne rozwiązanie kwestii wietnamskiej na podstawie poszanowania zasad niezawisłości i prawa do samostanowienia. Stany Zjednoczone podeptały te zasady dokonując przeciwko Wietnamowi agresji i depcą je nadal, usiłując przeforsować utrzymanie przy życiu nikogo nie reprezentującego reżimu sajgońskiego przy pomocy siły i wyborczego oszustwa. Lecz zasady, o których wspomnieliśmy są niezbywalnym dobrem każdego narodu. Podkreśla to punkt 7 Deklaracji Genewskiej. Na tym właśnie polega wartość Układów Genewskich, których polityczna część nie straciła dotąd swej aktualności. Polska, której powierzono w Genewie udział w Komisji Kontroli i Nadzoru, a więc czuwanie nad realizacją porozumień w sprawie Wietnamu, pozostaje wierna duchowi Układów Genewskich, opowiadając się niezmiennie za opartą na nim polityką rządu DRW i Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamskiej (AR)

ŚWIAT

● W środę, 16 lipca 1969 roku, o godzinie 16.32 czasu warszawskiego z Przylądka Kennedy'ego w Stanach Zjednoczonych wystartował na Księżyc statek kosmiczny „Apollo-11" z trzema ludźmi na pokładzie: Neil Armstrongiem, Edwinem Aldrinem i Michael Collinsem. W sobotę, 19 lipca, o godz. 4.00 statek wszedł w strefę przyciągania Księżyca. W niedzielę, 20 lipca, o godz. 18.50 N. Armstrong i E. Aldrin odłączyli się na pojeździe księżycowym LM od statku „Apollo" i o godz. 21.16 wylądowali na Srebrnym Globie. W poniedziałek, 21 lipca, o godz. 3.56 — ciągle według czasu warszawskiego — N. Armstrong, po wyjściu z kabiny LM, jako pierwszy człowiek w świecie stanął na Księżycu. „Jest to mały krok człowieka, a jednocześnie olbrzymi krok ludzkości" — powiedział N. Armstrong w chwilę po stanięciu na gruncie księżycowym. W 20 minut później z kabiny LM wyszedł na ląd księżycowy E. Aldrin. Spacer dwóch ludzi na Księżycu oglądało na ekranach telewizyjnych blisko 600 milionów mieszkańców Ziemi. O godzinie 6.11 obaj kosmonauci — zabierając z sobą ponad 50 kg gruntu księżycowego — powrócili do kabiny LM. O godz. 18.50 wystartowali z Księżyca i w kilka godzin później połączyli się z powrotem ze statkiem „Apollo-11", który przez cały ten czas krążył na orbicie wokółksiężycowej z M. Collinsem na pokładzie. W chwili, kiedy oddajemy ten numer do druku, trzej ludzie wracają z pierwszej podróży na Księżyc.

● Agencja TASS informuje, że 21 lipca br. został zakończony program badań w przestrzeni kosmicznej oraz program prób z nowymi systemami automatycznej stacji „Łuna-15". Z lipca o godz. 18.47 włączono silnik hamujący. Stacja zeszła z orbity i osiągnęła powierzchnię Księżyca w wyznaczonym rejonie. Kontakt roboczy z „Łuną-15" zakończył się o godz. 18.51.

● Salwador i Honduras zawarły porozumienie o zawieszeniu broni. W ciągu kilkudniowych walk zginęło kilka tysięcy ludzi.

● Od 5 lipca br. we Włoszech trwa kryzys rządowy spowodowany rozłamem we Włoskiej Partii Socjalistycznej. Do dziś były premier M. Rumor nie może utworzyć nowego gabinetu.

● W ub. tygodniu przybył z Moskwy do Sztokholmu zastępca sekretarza stanu USA J. Sisco. Przeprowadzi on rozmowy ze specjalnym wysłannikiem sekretarza generalnego ONZ na Bliski Wschód, amb. Gunnarem Jarringiem. W Moskwie Sisco spotkał się z ministrem spraw zagranicznych ZSRR — A. Gromyką.

● W radzieckim porcie Nachodka oddano do eksploatacji punkt wzmacniakowy transkontynentalnej linii telefonicznej „Azja — Europa — Azja". W ten sposób zakończono budowę kompleksu urządzeń radzieckiego odcinka tej najdłuższej w świecie linii łączności. Długość magistrali „Azja — Europa — Azja" wynosi 14,5 tysiąca kilometrów.

● W związku z rozszerzającą się epidemią cholery w Afganistanie i Pakistanie rząd Iranu zamknął granicę z tymi krajami. Wszyscy podróżni przybywający z tych krajów muszą przejść kwarantannę. Oficjalny komunikat opublikowany w Teheranie podaje, że cała ludność irańska mieszkająca w strefie granicznej przeszła już szczepienia przeciwko cholerze.

● Agencje zachodnie doniosły o tragedii, jaka wydarzyła się w pobliżu miasta Angers we Francji. Grupa dzieci bawiła się nad brzegiem Loary. W pewnym momencie obsunął się urwisty brzeg i 23 dzieci znalazło się w rzece. Czworo spośród nich udało się uratować. 10 ciał wyłowiła z rzeki policja, natomiast 9 pozostałych dzieci nie udało się odnaleźć.

POLSKA

Numer oddano do druku 23. VII. 1969 r.

● Cały kraj bardzo uroczyście świętował XXV-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

22 lipca br. w Warszawie odbyła się imponująca defilada wojskowa i wielka parada 15 tysięcy sportowców. Na trybunie honorowej obecni byli przywódcy najwyższych władz partyjnych i państwowych z I sekretarzem KC PZPR Władysławem Gomułką, przewodniczącym Rady Państwa PRL Marianem Spychalskim i premierem Józefem Cyrankiewiczem oraz zaproszeni na uroczystości XXV-lecia przywódcy sąsiadujących z nami państw: sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Nikołaj Podgorny, prezydent Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej Ludvik Svoboda, I sekretarz KC KPCz Gustav Husak, przewodniczący Rady Ministrów Niemieckiej Republiki Demokratycznej Willi Stoph, członek Biura Politycznego i sekretarz KC SED Erick Honecker. Defiladę przyjmował minister Obrony Narodowej Wojciech Jaruzelski.

W przededniu święta odbyło się też uroczyste posiedzenie Sejmu. Uczestniczyli w nim również — serdecznie przez Izbę witani — goszczący w naszym kraju przywódcy ZSRR, CSRS i NRD. Posłowie z pełną aprobatą przyjęli okolicznościowe przemówienie I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki, bardzo serdecznie przyjęli też pozdrowienia dla narodu polskiego przekazane z trybuny sejmowej przez sekretarza generalnego KC KPZR, Leonida Breżniewa oraz I sekretarza KC KPCz Gustava Husaka i premiera NRD Willi Stopha.

Uroczyste posiedzenie Izby poprzedzone zostało obradami roboczymi, w trakcie których Sejm podjął z okazji jubileuszu PRL ustawę o amnestii.

W dniach poprzedzających XXV rocznicę Manifestu PKWN tysiące obywateli naszego kraju — przedstawicieli wszystkich środowisk społecznych udekorowanych zostało wysokimi odznaczeniami państwowymi. Order Budowniczych Polski Ludowej otrzymali m. in.: członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Ryszard Strzelecki, członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Bolesław Jaszczuk, członek Biura Politycznego, I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie — Władysław Kruczek, zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, wiceminister — Piotr Jaroszewicz, członek KC PZPR, minister Obrony Narodowej — Wojciech Jaruzelski, członek Prezydium CK SD, członek Rady Państwa PRL — Eugenią Krassowska, członek Prezydium WK ZSL — Antoni Korzycki, dyrektor Instytutu Okrętowego Politechniki Gdańskiej — Lech Kobyliński, kierownik działu Zakładów im. Marchlewskiego w Łodzi — Marian Morawski, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie — Stanisław Lorentz, dyrektor naczelny „Petrobudowy" w Płocku — Antoni Rogulicki.

W Warszawie i innych miastach Polski bawi wiele delegacji zagranicznych przybyłych do naszego kraju w dniach Jubileuszu PRL na zaproszenie polskich organizacji społecznych. Szczególnie gorąco witana jest pierwsza w świecie kobieta-kosmonautka, Walentyna Tierieszkowa. Zwiedziła ona m. in. stolicę i Wybrzeże. W Gdyni była „matką chrzestną" wodowanego tam dla radzieckiego armatora statku „Drużba Narodów".

W dniach poprzedzających 22 lipca kraj otrzymał przed zaplanowanym terminem — w wyniku realizacji zobowiązań podjętych przez załogi budowlane dla uczczenia Srebrnego Jubileuszu PRL — nowe obiekty przemysłowe i kulturalne. M. in. w Warszawie przekazano do użytku nowe centrum radia i telewizji. Jest to największa inwestycja kulturalna ćwierćwiecza. W uroczystości otwarcia tego kompleksu uczestniczył m. in.: członek Biura Politycznego KC PZPR, premier — Józef Cyrankiewicz i członek Biura Politycznego, sekretarz KC partii — Bolesław Jaszczuk. W Policach natomiast na 5 miesięcy przed terminem przekazano do rozruchu technologicznego wytwórnię kwasu siarkowego. W uroczystości uczestniczył m. in. członek Biura Politycznego KC partii, minister spraw zagranicznych — Stefan Jędrychowski.

● 20 lipca br. prezes Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, marszałek Sejmu PRL — Czesław Wycech obchodził 70 rocznicę urodzin. Jubilat otrzymał listy gratulacyjne od Prezydium i Sekretariatu NK ZSL, od I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, Władysława Gomułki oraz od przewodniczącego CK SD, Zygmunta Moskwy.

● W ub. tygodniu odbyła się w Komitecie Centralnym partii narada sekretarzy organizacyjnych komitetów wojewódzkich PZPR na temat zadań organizacji i instancji partyjnych w realizacji uchwał II plenum KC PZPR. Przemawiał członek Biura Politycznego, sekretarz KC partii — Ryszard Strzelecki. Przemówienie to publikowała prasa codzienna.

LIST Z ...

PATENT NA DŻENTELMENÓW

ŻEBY nie było nieporozumień. Powiadamy od razu, że przedmiotem niniejszej korespondencji będą nie dżentelmeni w ogóle, lecz dżentelmeni jezdni. Już po raz czwarty bowiem popularna popołudniówka warszawska — „Kurier Polski" — oraz z Wydziałem Komunikacji Stołecznej Rady Narodowej i Automobilklubem — organizują konkurs o tytuł Dżentelmena Jezdni 1969 roku. Jest to tym razem impreza wyjątkowo masowa (bierze udział ponad 20 tys. uczestników), a ciekawą nowością jest fakt, że po raz pierwszy mogą w niej brać udział kierowcy pojazdów szynowych. Jednakże radując się niewymownie z zasłużonego zresztą powodzenia kierowczyńskiego konkursu, radując się, że startują w nim zarówno kierowcy indywidualni (zawodowi i amatorzy), jak i całe bazy samochodowe, które to współzawodnictwo przyniesie zapewne — jak i poprzednimi laty — spore efekty, nie mogę powstrzymać się od zgryźliwej uwagi. Asumpt do niej dał fakt, że w konkursie na dżentelmena jezdni zgłosił swój udział — obok wielu znanych aktorów, reżyserów i działaczy społecznych — także naczelny architekt Warszawy.

Tak sobie bowiem pomyślałem — a nie jest mój pogląd odosobniony — że wyniki we współzawodnictwie o szczytny przecież tytuł zależą nie tylko od uczestników konkursu. Zależą także od ogólnych i szczegółowych warunków, jakie stwarza się uczestnikom ruchu drogowego. Tak się jednak składa, że w Warszawie nie są one najlepsze. Trudno w krótkiej korespondencji mówić o wszystkim. Dlatego tylko o jednej, pozornie tylko — szczególnie w stolicy — drobnej sprawie. O parkingach. Strzeżonych i nie strzeżonych. Tych oficjalnych i nieoficjalnych. Pierwsze powstają na placach i innych wydzielonych do tego celu miejscach. Otóż na Żoliborzu, gdzie — w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców — przyrost liczby samochodów jest najmniejszy — jest jeszcze jako tako. W innych jednak dzielnicach, a szczególnie w Śródmieściu i na Mokotowie — stało się już tak ciasno, że posiadacz nowego samochodu nie ma go gdzie postawić.

Od pewnego czasu ratunkiem mają być miejsca przy krawężnikach i na chodnikach, na specjalnie wydzielonej przestrzeni. Jednakże z tym parkowaniem na chodnikach nie jest wcale tak łatwo jak by się wydawało niejednemu samochodziarzowi spoza Warszawy. Stolica zapoczątkowała wprawdzie chodnikowe parkowanie samochodów, nie rozwiązała jednak tej sprawy do końca. Warto więc chyba o tym napisać, zanim owe kłopoty powtórzą się w innych miastach.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że przelotowości ulic warszawskich nie potrafiliśmy zaplanować z odpowiednim wyprzedzeniem w stosunku do nasilenia motoryzacji. W każdym razie nie uwzględniliśmy dostatecznie tego zjawiska. Trzeba się teraz ratować różnymi sposobami. Ale ratujmyż się po dżentelmeńsku!..

BOGDAN KUJAWA

DOLNY ŚLĄSK

● W radosnym, świątecznym nastroju upłynął dzień Srebrnego Jubileuszu PRL i dni poprzedzające rocznicę. W zakładach pracy, instytucjach, na wsi odbywały się akademie, imprezy artystyczne, zabawy. Najbardziej zasłużeni otrzymywali odznaczenia, dyplomy i nagrody.

W ub. sobotę w gmachu KW PZPR odbyła się uroczystość, na którą przybył sekretarz KC PZPR — Stefan Olszowski; wręczono tam odznaczenia 144 zasłużonym działaczom partyjnym. Order Sztandaru Pracy I klasy otrzymali: I sekretarz KW — W. Piłatowski, sekretarz KW — L. Drożdż; Order Sztandaru Pracy II klasy — sekretarz KW A. Banaszak; Krzyża Komandorskie Orderu Odrodzenia Polski — sekretarz KW J. Pałuch, przewodniczący WKKP H. Janulewicz i sekretarz KP w Dzierżoniowie J. Jukowski. Krzyżami Oficerskimi Orderu Odrodzenia Polski udekorowano m.in.: I sekretarza KMiP w Wałbrzychu Z. Balickiego, I sekretarza KP w Legnicy M. Murdzika i kierownika Wydziału Organizacyjnego KW A. Wróblewskiego, zaś Krzyżami Kawalerskimi odznaczono m.in.: sekretarza KW R. Rafajłowicza, kierownika Wydziału Ekonomicznego KW Z. Bartosika i kierowniczkę WUML Marię Rycombel.

● W ub. piątek odbyła się w Sali Rycerskiej Ratusza wspólna sesja obu rad — wojewódzkiej i miasta — oraz obu Komitetów Frontu Jedności Narodu. Licznie zaproszonych gości oraz wszystkich zebranych powitał wiceprzewodniczący Prez. WRN A. Rakszewski. Referat wygłosił przewodniczący RN m. Wrocławia S. Panek. W czasie sesji odznaczono wielu zasłużonych ludzi dla województwa i miasta. Wysokie odznaczenia — Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą otrzymał b. długoletni przewodniczący miasta prof. B. Iwaszkiewicz.

● O współpracy między obu stowarzyszeniami twórczymi rozmawiały ze sobą delegacje dziennikarzy z Hradec Kralove i Wrocławia. Ustalono, że będą się odbywały wymiany między redakcjami i sekcjami stowarzyszeń. Prezes ZO Stowarzyszenia Dziennikarzy Czechosłowackich K. Tylsz wręczył prezesowi ZO SDP W. Bielowiczowi pismo z okazji 25-lecia PRL.

● We Wrocławiu gościła delegacja Komitetu Obwodowego KPZR z Zaporoża. Na jej czele stał sekretarz Komitetu Obwodowego W. I. Petrykin. Goście radzieccy zwiedzali zakłady pracy na Dolnym Śląsku, spotykali się z młodzieżą, brali udział w uroczystościach jubileuszowych.

● Wrocławskie święto kwiatów bije wszelkie rekordy w jubileuszowym roku PRL. Ta — już sprzed lat — inicjatywa Klubu Dziennikarza (autor red. Lucjan Sochaj) obrosła w tradycję i stała się wielką atrakcją miasta. Tysiące ludzi przewijają się przez sale Klubu Dziennikarza, Klubu Prasy i Książki, BWA, Klubu Muzyki i Literatury. Otwarcia dokonał wiceprzewodniczący Prez. RN m. Wrocławia J. Michalski, obecni również byli wiceprzewodniczący Prez. WRN A. Rakszewski i kierownicy wydziałów kultury J. Soyta i E. Paliński. Organizatorom wszystkim wystawcom — gratulacje!

● Nagrodę wrocławskiej prasy wręczono kilka lat temu Sylwestrowi Checińskiemu z życzeniami zdobycia najcenniejszych nagród w kraju i za granicą. Życzenia się spełniły. Checiński za film „Sami swoi" otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. I tym razem, Panie Sylwestrze, zdobycia dalszych nagród życzymy!

Wczasowicze na Jeziorze Łebskim. *Fot. T. Drankowski*

jedziemy na wczasy

Bogdan Jałowiecki

W LIPCU, Polacy dzielą się na dwie kategorie, tych po urlopie i tych przed urlopem. Pierwsi, jeżeli są pesymistami, narzekają na tłok w pociągu, fatalną pogodę, złe zaopatrzenie miejscowości wczasowych itd., jeżeli zaś są optymistami powiadają, że od dziesięciu lat w tej miejscowości, gdzie akurat przebywają zawsze świeci słońce i chociażby dookoła lało, na ich kawałku plaży, czy łączki pogoda była wspaniała. Drudzy zaś mają nadzieję na piękny wypoczynek, a niektórzy marzą nawet o letniej przygodzie. Na urlopowo-pogodowe tematy toczą się lipcowe rodaków rozmowy, pomówmy więc i my w tonie może nieco bardziej poważnym o wczasach, tym bardziej, że nasi czytelnicy, odpowiadając na pytania ankiety, dostarczyli obszernego materiału do refleksji.

W GÓRY, CZY NAD MORZE?

Sposób spędzania urlopu zależy od wielu czynników, z których wymienić można zawód, wykształcenie, zarobki, wiek, sytuację rodzinną itp. Zależność ta wyraźnie potwierdziła naszą ankieta, chociaż osoby udzielające odpowiedzi nie są przecież statystyczną reprezentacją mieszkańców Dolnego Śląska. **Wśród 707 osób odpowiadających na ankietę zdecydowanie przeważają pracownicy umysłowi oraz osoby posiadające średnie i wyższe wykształcenie. Najczadziej w ciągu ostatnich 10 lat (do 3 razy) wyjeżdżały na urlop osoby w wieku 41—56 lat (22 proc), posiadający wykształcenie podstawowe (39 proc.) pracownicy fizyczni (24 proc.) i mający dzieci do lat 2 (24 proc.). Z kolei co roku wyjeżdżało na urlop aż 78 proc osób w najmłodszej kategorii wieku (do lat 20) i 64 proc. do lat 30. Częściej od osób pozostających w związku małżeńskim wyjeżdżają osoby wolne (59 proc. w porównaniu do 37 proc.). Tak więc zarówno małżeństwo, jak posiadanie, szczególnie małych dzieci, ograniczą wyraźnie urlopową ruchliwość. Co roku wyjeżdżało na urlop 50 proc. odpowiadających na ankietę ze średnim wykształceniem i 46 proc. z wyższym, w porównaniu do 8 proc. z wykształceniem podstawowym.** Natomiast w tej kategorii wyjazdów nie ma prawie różnicy między pracownikami umysłowymi i fizycznymi. Znacznie częściej wyjeżdżają na wakacje miesiańkańcy Wrocławia: 62 proc. rokrocznie, w porównaniu do 45 proc. z takich miast jak: Jelenia Góra, Legnica, Świdnica i Wałbrzych i 25 proc. z pozostałych miast powiatowych.

Podobne wyniki, jeżeli chodzi o zasadnicze tendencje, uzyskano w innym badaniu. Michał Strzeszewski badając wypoczynek mieszkańców miast podaje, że w roku 1963 nie wyjeżdżało na urlop 45 proc. osób z wykształceniem podstawowym, 23 proc. ze średnim i 16 proc. z wyższym. Także w jego badaniach potwierdza się zależność między wyjazdami, a liczba posiadanych dzieci. Wśród badanych mężczyzn wyjeżdżało 64 proc. posiadających jedno dziecko i tylko 39 proc. z trojgiem dzieci. Ryszard Dyoniziak w swojej interesującej książce „Zróżnicowanie kulturowe społeczności wielkomiejskiej” badając reprezentację mieszkańców Krakowa podaje iż odsetek nie wyjeżdżających wśród robotników waha się w granicach 26 proc. gdy tymczasem wśród inteligencji 12 proc.

Sprawy, o których mowa mają jak się wydaje już historyczne znaczenie. Niewątpliwie zróżnicowanie urlopów pracowników fizycznym, zmieni dotychczas istniejące proporcje. Czas wolny będzie można wykorzystać w sposób bardziej różnorodny, bez konieczności dokonywania alternatywnych wyborów, np. wyjazdu na wczasy, czy zajęć w ogródkach działkowych, szczególnie popularnych w środowiskach robotniczych.

Wyjazdy nad morze znajdują się na pierwszym miejscu wśród pracowników umysłowych, natomiast pracownicy fizyczni nieco częściej wyjeżdżają w góry. Wśród tej ostatniej kategorii bardziej popularne są wyjazdy na wieś: 37 proc. w porównaniu do 11 proc. wśród pracowników umysłowych. Przynajmniej jeden raz wyjeżdżało nad morze 18 proc. pracowników umysłowych, dwa razy 37 proc., trzy i więcej razy 37 proc. Odpowiednie odsetki wśród pracowników fizycznych wynoszą: 17 proc., 8 proc., 20 proc. Podobne częstotliwość występuje jeżeli chodzi o wyjazdy w góry i do innych miejsc, z wyjątkiem wsi, gdzie robotnicy, jak już wspomniano, jeżdżą znacznie częściej, 3 i więcej razy wyjeżdżało na wieś aż 61 proc. Robotnicy dwukrotnie rzadziej niż pracownicy umysłowi jeżdżą za granicę. W pierwszej kategorii wyjazdy zagraniczne wśród ogółu wyjazdów stanowią 5 proc., w drugiej 10 proc.

Pytając o tegoroczne plany urlopowe interesowały nas kierunki wyjazdów: w góry, czy nad morze? Zarówno wśród mieszkańców miasta, jak i województwa morze bije wszelkie rekordy. **Na bałtyckich plażach zamierza opalać się 53 proc. naszych czytelników z Wrocławia i 47 proc. z województwa. W góry wybiera się 26 proc. mieszkańców miasta i 29 proc. województwa.** Miejscowości dolnośląskie następują nieco Tatrem i Beskidom. Do województwa krakowskiego wybiera się 12 proc. wrocławian i 14 proc. czytelników z województwa. Na trzecim miejscu obok morza i gór znajdują się jeziora Mazurskie, gdzie zamierza spędzić urlop 8 proc. odpowiadających na ankietę. Inne rejony będą jedynie z rzadka odwiedzane, tak więc wysiłki spopularyzowania innych atrakcyjnych obszarów naszego kraju nie dają większych rezultatów.

BYLE NIE DO SOPOTU

Ogromna większość zapytywanych stwierdza, że lepiej wypoczywa się wyjeżdżając na urlop z domu. Tego zdania jest 84 proc., pozostałe 16 proc., twierdzi, że lepiej lub jednakowo dobrze wypoczywa się w domu. Bardziej sobie cenią urlop spędzony w domu przede wszystkim osoby starsze, w wieku powyżej 40 lat, pracownicy fizyczni i mający podstawowe wykształcenie oraz osoby posiadające małe dzieci.

Nieco więcej niż połowa (52 proc.) uważa, iż najlepiej jest wykorzystać urlop w lecie. Za podzieleniem urlopu na dwie części i skorzystania z niego w lecie i zimie opowiada się 44 proc. Tak więc stosunkowo duża grupa osób podziela tutaj jak widać pogląd higienistów-lekarzy, którzy twierdzą że zimowy urlop jest bardziej korzystny dla zdrowia, pomaga bowiem zregenerować nadwątlone siły w najbardziej niekorzystnym dla organizmu okresie. Za urlopami tylko w lecie w większym stopniu opowiadają się osoby posiadające niższe wykształcenie, pracownicy fizyczni i mieszkańcy wsi. Za zimowymi z kolei osoby z wyższym wykształceniem, pracownicy umysłowi i osoby bezdzietne.

Większość zapytywanych uważa, że najlepszymi miesiącami do wyjazdu na wczasy są lipiec (67 proc.) i sierpień (27 proc.), mniej tradycyjne gustują w czerwcu (12 proc.) i wrześniu (11 proc.). Pozostałe miesiące, z wyjątkiem października i listopada, wybierają tylko nieliczne osoby. Mężczyźni mają nieco bardziej tradycyjne gusty od kobiet, wrzesień i czerwiec wybiera tylko 20 proc. mężczyzn w porównaniu do 26 proc. kobiet. Te same miesiące są nieco bardziej atrakcyjne dla osób młodszych oraz dla pracowników umysłowych, ale różnice w tym zakresie są stosunkowo niewielkie.

Ogromna większość uważa, że najlepiej wypoczywa się w ciszy, na łonie przyrody (83 proc.), a jedynie 5 proc. jest zdania, że najlepszy jest urlop w gwarnej miejscowości wczasowej. Opinie te, jak to często bywa, sprzeczne są z rzeczywistym zachowaniem, gdyż znacznie więcej osób, niż by wynikało z odpowiedzi na to pytanie ankiety, wybiera się do Sopotu, Międzyzdrojów, Kołobrzegu, czy Zakopanego. Trzeba tu jednak dodać, że nie zawsze posiada się swobodny wybór miejscowości wczasowej; jedzie się często tam, gdzie otrzymuje się skierowanie, a ośrodki wczasowe z kolei rozwijają się najczęściej właśnie w tych modnych kurortach.

Gwarne miejscowości wczasowe — jako miejsce spędzenia urlopu — częściej wybierają kobiety niż mężczyźni, osoby w najmłodszej kategorii wieku oraz posiadający wyższe wykształcenie, natomiast znacznie rzadziej rolnictwa i osoby posiadające dzieci.

RAZEM, CZY OSOBNO?

W związku z ogromnym rozwojem wczasów prowadzonych przez zakłady pracy, które już w roku 1966, ilością miejsc trzykrotnie przewyższały wczasy FWP, interesowała nas społeczna ocena tej formy wypoczynku. Nasz sondaż potwierdził wysuwane już wielokrotnie przypuszczenie, iż forma wczasów zakładowych budzi różnorodne opozycje wśród osób zainteresowanych. **Jedynie niecałe 5 proc. odpowiadających na ankietę uważa, że gdzieś lepiej wypoczywa wśród ludzi, z którymi pracuje, dla 18 proc. rzecz ta jest obojętna, natomiast aż 77 proc. osób jest zdania, że lepiej wypoczywa się w obcym środowisku.** Na kolejne pytanie o ocenę różnych form wypoczynku, za wczasami zakładowymi opowiedziało się tylko 13 proc.

Poszczególne kategorie odpowiadających na ankietę w różnym stopniu wyrażały negatywną opinię o wypoczynku w środowisku swojego zakładu pracy. Za tą formą wypoczynku częściej opowiadały się kobiety, osoby starsze (powyżej 40 lat) z wyższym wykształceniem, pracownicy fizyczni, małżeństwa i mieszkańcy wsi. Motywacja tego rodzaju opinii jest oczywiście złożona, odpowiadający na ankietę nie uzasadniali swojego poglądu, znane są jednak skądinąd argumenty przeciwników wypoczynku w środowisku swojego zakładu pracy. Wypoczywając wśród kolegów, podwładnych, przełożonych czujemy się skrępowani, do ośrodka wczasowego automatycznie zostaje przeniesiona zakładowa hierarchia i sieć wzajemnych zależności, trudno nieraz oderwać się od spraw przedsiębiorstwa, które wracają w codziennych rozmowach. Ośrodki wczasowe — szczególnie tych bogatszych przedsiębiorstw — wprowadzają element zróżnicowania standardu wyposażenia, niskorzystnie odbierany przez wczasowiczów FWP lub uboższe zakłady. W Szczyrku np. obok luksusowego, wypasionego w kryty basen „Zagronia” należącego do Zabrzańskiego Zjednoczenia Węglowego, stoi biedna chałupina Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ten kontrast na zasadzie „pałac — ruderа”, podkreślało wielu wczasowiczów. Zwolennicy wczasów zakładowych mówią natomiast o ich rodzinnym charakterze, stwierdzają że wiele przedsiębiorstw organizuje dojazd własnymi autobusami, odpada więc konieczność jazdy zatłoczonymi pociągami, wymieniają wreszcie wyższy standard tych ośrodków i lepsze wyżywienie. Sprawa jest więc dyskusyjna, a problem otwarty, wart na pewno głębszego naświetlenia.

Za najbardziej atrakcyjną formę spędzenia wakacji uznano wyjazd prywatny, za tą formą wypoczynku opowiedziało się 28 proc. zapytywanych, następne miejsca z kolei zajęły wczasy FWP (22,6 proc.), wczasy zakładowe (12,7 proc.) i wreszcie inne formy, jak wczasy „Orbisu”, PTTK itd. Zwolennikami wczasów zakładowych są przede wszystkim pracownicy fizyczni, osoby z wykształceniem podstawowym i rodziny z dziećmi. Wśród zwolenników wczasów FWP przeważają osoby z wykształceniem średnim. Zwolennicy wczasów PTTK i „Orbisu” rekrutują się wyłącznie spośród pracowników umysłowych.

Stosunkowo duża część odpowiadających na ankietę jest zdania, że lepiej wypoczywa się przebywając na wczasach samotnie (40 proc.). Za wyjazdem wraz z żoną opowiada się 28 proc., a z żoną i dziećmi 22 proc. Najwięcej zwolenników samotnych urlopów spotyka się wśród najmłodszych kategorii wieku (do lat 20), wśród osób z wyższym wykształceniem, pracowników umysłowych i mieszkańców Wrocławia. Tak więc problem „razem, czy osobno?” nie został jednoznacznie rozstrzygnięty. Osobno w przypadku współtowarzyszy pracy, częściowo razem, a częściowo osobno w przypadku współtowarzysza życia.

PIERWSZEGO SPOTKANIE NA DWORCU

Zdecydowana większość naszych czytelników wybiera się na urlop w bieżącym roku (81 proc.), 11 proc. nie ma jeszcze sprecyzowanych planów, a jedynie 8 proc. nigdzie w tym roku nie ma zamiaru wyjechać. Wśród tych, którzy pozostaną w domu, najwięcej jest osób z wykształceniem podstawowym (29 proc.), osób liczących powyżej 40 lat (22 proc.) rodzin posiadających małe dzieci (32 proc.) i wreszcie 59 proc. mieszkańców wsi. Znaczna część zapytywanych planuje spędzenie urlopu prywatnie (42 proc.), znacznie mniej (23 proc.) wybiera się na wczasy FWP, a jeszcze mniej (19 proc.) na wczasy organizowane przez zakłady pracy. Wśród tych, którzy mają zamiar zorganizować sobie urlop na własną rękę najwięcej jest małżeństw i osób posiadających dzieci oraz przedstawicieli najmłodszych kategorii wieku, którzy np. są zwolennikami wczasów wędrownych.

„Szczyt” urlopowych wyjazdów nieznacznie przypada w tym roku i lipca (9 proc. wyjazdów) i 1 sierpnia (18 proc.), przy czym w tych dniach zamierza wyjechać nieco więcej mieszkańców Wrocławia niż innych ośrodków. Również słoczno będzie 15, zarówno w lipcu (8 proc. wyjazdów) jak i w sierpniu (16 proc.). Pierwszego i piętnastego skupia się blisko połowa wyjazdów w miesiącach letnich. Jak widać różnicowanie terminu rozpoczęcia wczasów niewiele pomaga, bo jeżeli jedziemy prywatnie to i tak wybieramy te swoiście magiczne dni.

Najwięcej osób wybiera koleją (38 proc.), przy czym znacznie więcej z Wrocławia niż z województwa, na drugim miejscu znajduje się własny samochód (1) — 17 proc., następnie kombinowane środki transportu, kolei i PKS (17 proc.), PKS (16 proc.) i wreszcie transport zakładów pracy (19 proc.). Własnym samochodem wyjadą przede wszystkim pracownicy umysłowi i mieszkańcy Wrocławia oraz miast powiatowych.

KŁOPOTY Z URLOPEM

Na pierwszym miejscu, wśród trudności w zorganizowaniu sobie wakacji zgodnie z życzeniami, są kłopoty z uzyskaniem urlopu w odpowiednim terminie (25 proc.), i trudności w zgraniu własnego urlopu z urlopem współmałżonka (25 proc.). W pierwszym przypadku najwięcej skarżących się to mieszkańcy Wrocławia, a następnie pracownicy fizyczni i osoby ze średnim wykształceniem. W drugim przypadku to mieszkańcy miast wydzielonych, pracownicy umysłowi i posiadający wyższe wykształcenie.

Na trzecim miejscu wśród urlopowych trudności znajdują się kłopoty w uzyskaniu skierowania na wczasy (21 proc.) i wreszcie kłopoty finansowe, które najbardziej odczuwają osoby z wykształceniem podstawowym. Wśród osób odpowiadających na naszą ankietę jedynie 5 proc. nie odczuwa żadnych trudności przy organizowaniu sobie urlopu.

Czytelnicy na ogół pozytywnie oceniają sposób rozdziału skierowań na wczasy w ich zakładach pracy, 60 proc. uważa, że są one rozdzielane sprawiedliwie, jedynie 10 proc. jest przeciwnego zdania, a 30 proc. nie ma na ten temat żadnej opinii. Wśród osób skarżących się na niesprawiedliwy rozdział wczasów więcej jest osób z wykształceniem podstawowym i wyższym oraz mieszkańców Wrocławia i miast wydzielonych.

DZIECI JADĄ Z NAMI

Ponad połowa odpowiadających na ankietę, zamierza zabrać ze sobą na urlop dzieci (54 proc.), u krewnych na wsi zamierza umieścić dzieci 21 proc., zaś na koloniach 14 proc., jeszcze mniej, bo zaledwie 8 proc. planuje pobyt na obozach harcerskich.

Jak to często bywa, realne plany nie pokrywają się z teoretycznymi życzeniami; zapytani bowiem o najwłaściwsze formy spędzania wakacji przez dzieci, czytelnicy nasi na pierwszym miejscu wymienili kolonie (28 proc.), a następnie obozy harcerskie (27 proc.), dopiero na trzecim miejscu znalazły się wczasy z rodzicami (26 proc.). Krewnych na wsi jako najlepsze miejsce pobytu wymieniło tylko 14 proc.

Zwolennikami kolonii są mniej więcej w równym stopniu wszystkie kategorie odpowiadających, natomiast obozy harcerskie wymienia zdecydowanie więcej pracowników umysłowych oraz nieco więcej osób z wykształceniem wyższym.

Pytaliśmy wreszcie jak dzieci spędzały wakacje w ciągu ostatnich kilku lat. I tak: **najwięcej dzieci pracowników umysłowych było na wakacjach razem z rodzicami (39 proc.), następnie na koloniach (23 proc.), u krewnych na wsi (16 proc.) i obozach harcerskich (11 proc.). Z kolei najwięcej dzieci pracowników fizycznych było u krewnych na wsi (42 proc.) następnie razem z rodzicami (19 proc.), prawie tyle samo na koloniach i wreszcie 10 proc. na obozach harcerskich.**

Jak wynika z tych danych nie ma większych różnic w sposobie wypoczynku dzieci pracowników umysłowych i fizycznych, przynajmniej wśród osób, które odpowiedziały na ankietę. Jak wiemy skądinąd różnice te istnieją, są jednak mniejsze, niż różnice w sposobie wypoczynku dorosłych obu kategorii. Jest to więc niewątpliwie zjawisko optymistyczne.

*

Sondaż nasz, podobnie jak i poprzednie ankiety przyniósł wiele informacji o znanych i mniej znanych problemach, potwierdził jednak jak się zdaje pilną potrzebę pogłębionej dyskusji o społecznych problemach organizacji wczasów pracowniczych w naszym kraju, konieczność upowszechniania nowych wzorów urlopowych i zwalczania tradycyjnych złych nawyków.

CZYTELNICY „WIADOMOŚCI” wylosowali 23 nagrody

„Wiadomości!”) stwierdza, że nagrody otrzymują:

I NAGRODE — RADIO TRANZYSTOROWE (1.200 zł) — MIROSŁAWA ROMANOWICZ, zam. Wrocław, ul. Lubuska 68/42.

II NAGRODE — TORBE PODRÓŻNĄ (400 zł) — MARIAN GRĘDOWSKI zam Legnica, ul. Pstrowskiego 22/4.

III NAGRODE — MATERAC TURIŃSKI (300 zł) — ZBIGNIEW PRZYBYSŁAW OSTAPIUK, zam. Dębrznik Stz, pow. Kamienna Góra.

Wpłynęło na ręce Czytelnicy wylosowali 20 bonów towarowych wartości 50 zł, które otrzymali:

JAN RUDNICKI — Chojnów, ul. Świerczewskiego 33, BENEDYKT FILIPKOWSKI, Wołów ul. Zwycięstwa 6/13, MARIANNA ORZECH, Wrocław ul. Chudoba 4 m 12, JERZY SKIRTUN, Ciernie 32, pocz. Świdnodzice, ROMAN BETKA, Zabkowice Śl., ul. Traugutta 9/14, JÓZEF JANKE, Kiełczów, Kolonia Leśna 17, ZIGMUNT BRZEZIŃSKI, Łąka, pow. Oleśnica, BOLESŁAW KUBASIK, Wrocław 3, ul. Cierniołąska 55 m 6, KAZIMIERZ BIAŁY, Wrocław, ul. Pracy 27 B m 21, WŁADYSŁAWA MAZUR, Wrocław, ul. Nożownicza 33 m 10, ANNA MOJSA, Wrocław, ul. Karłowicza 30, MARIA JAKUBOWSKA, Wrocław, ul. Berenta 49, JÓZEF SADOWSKI, Wrocław, ul. Wieczorka 99/4, MARIAN SOŁTYS, Wrocław, ul. Przyszowa 9/8, JAN KREKORA, Świdnica, ul. Kriewskiego 20/5, HALINA RUDNICKA, Złotoryja ul. Wojska Polskiego 20/4, JERZY JÓZEFOWICZ, Milicz, ul. Łąkowa 3, MAREK PETRYK, Duszniki Zdrój, ul. Zdrojowa 8, ANNA HORYSZKO, Milicz — Sławoszowice, ul. Krótka 18, ANNA KEDZIERSKA, Legnica, ul. Żwirki i Wigury 53/8, MIECZYSŁAW OBAŁEK, Jelenia Góra, ul. Chrobrego 5c/16.

Nagrody zostaną wysłane poczte.

Weekend u bram piekieł

Dokończenie ze str. 1

aktywiści wielu innych instytucji. Efekty równe są tym, jakie się uzyskuje, obrzucając ścianę grochem.

Spróbujmy wskazać przyczyny.

Winowajcy bez winy?

Sprzyja bez wątpienia sytuacjom, pociągającym za sobą nieodwracalne często skutki, klimat powszechnego pobłażania, życzliwości (określmy to nawet tak!) wobec nierozważnych — w ogromnej swej części dzisiaj już „świętej pamięci sprawców".

Zamiast ogólnikowych rozważań proponuję opowieść rozgoryczonego milicjanta. Usłyszałam ją w Komendzie Ruchu Drogowego.

Przed jakimś miesiącem milicja przyłapała na gorącym uczynku kierowcę MPK. Wypełniony po brzegi autobus prowadził będąc w stanie skrajnego upojenia alkoholowego. Badanie ujawniło w jego krwi 3,14 promille alkoholu — czyli dawkę bliską śmiertelnej. Po to, by taki poziom osiągnąć, musiał on spożyć 11 tr! alkoholu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się uniknąć nieszczęśliwego wypadku!

Milicja wszczęła przeciwko niemu wstępne dochodzenie. Teraz mam pytanie dla tych, którzy bagatelizują problem, a bezgranicznie wierzą w ludzki rozsądek. Jak wam się zdaje — moi drodzy? W jaki sposób zareagowali na to wszystko świadkowie? Dali stróżom porządku publicznego dowód swego uznania za obezwładnienie szaleńca? Wystąpili może z żądaniem przykładnego ukarania go, aby odstraszyć innych od podejmowania podobnych prób?

Następnego dnia w Komendzie Ruchu Drogowego we Wrocławiu, listonosz zostawił podpisaną trzydziestoma nazwiskami, opatrzoną pieczątkami Rady Zakładowej i Samorządu Robotniczego jednego z zakładów (załoga zakładu ta „cysterna" dowoziła do pracy) — petycję domagającą się uniewinnienia go.

Można przyjąć za regułę, że postronne osoby staną po stronie „męcznenika" a nie po stronie „wścibskich" funkcjonariuszy MO czy członków ORMO.

Pilk entuzjastycznych opinii o zaletach obwinionych (Komendę prowadzi osobliwe archiwum) zdołał mnie o tym dostatecznie przekonać.

Inna przyczyna. Nie dopełniają w sposób zadowalający swych obowiązków dyspozytorzy przedsiębiorstw transportowych. W zakresie swych czynności zawodowych mają oni wyraźnie powiedziane, iż są zobowiązani sprawdzać nie tylko to, czy opuszczający bazę pojazd jest w odpowiednim stanie technicznym — również i to, czy kierujący nim człowiek jest w takim stanie.

W tym celu dyspozytorzy zostali zaopatrzeni w probierze trzeźwości — popularne baloniki. Nie robią jednakże z nich większego użytku, czego dowodem liczba wypadków spowodowanych przez kierowców owych przedsiębiorstw. (Są oni odpowiedzialni za połowę wszystkich wypadków drogowych — także wypadków popełnionych w czasie oszołomienia alkoholowego).

W czasie śledztwa wychodzi dopiero na jaw smutna prawda: kierowca opuszczał bazę już pijany!

Można by tu napisać dla odmiany rzecz inną: Człowiek mógłby wreszcie nabrać rozumu po uprzednim chociażby zapoznaniu się z treścią wydawnictw drukowanych pod auspicjami Towarzystwa Przeciwalkoholowego. Z tym też celem się je wydaje. Przejrzałam kilka takich broszurek.

Slogany — to za mało!

Wnioski? Propaganda ta jest prowadzona w sposób nieumiejętny, operuje w miejsce zasadniczej argumentacji (byłyby nią autentyczne ludzkie dramaty, fragmenty akt sądowych, czy chociażby wykorzystana przeze mnie statystyka) — wyświechtanymi, pozbawionymi głębszych treści i mocy przekonywania stwierdzeniami o charakterze sloganowym, które nie spełniają zamierzonej roli.

Atmosfera pobłażania rozciąga się na działalność instytucji, których zadaniem, świętym obowiązkiem jest wymierzanie, zgodnie z interesem społecznym, winnemu surowej kary. Kolegia orzekające karzą tymczasem takich kierowców niezradko grzywnami wynoszącymi śmiesznie mało — kilkaset złotych. Grzywna nie spełnia swej roli, nie odczuwa jej sam płatnik, i chyba się też nią zbytnio nie przejmuje.

Sądy ferują wyroki 2—3 lata, co za spowodowanie kalectwa, a często zabicie człowieka — (mamy przykłady spraw zakończonych takim właśnie łagodnym wyrokiem) nie jest wspólmierne ani do win, ani nie spełnia swego społecznego celu.

Przestańmy płacić odsetki — uwagi końcowe

Przyszło nam więc wszystkim żyć w takich czasach, w których człowiek podczas porannej lektury gazet, prócz serwisu wiadomości z zakresu polityki, spraw kultury, nauki, znajduje także doniesienia o takiej, czy innej katastrofie; katastrofie na lądzie, morzu, czy w powietrzu. To cywilizacja każe nam płacić za wszelkie wygody, jakich nam dostarcza — a jest to poborca wyjątkowo twardy, nieustępliwy, mimo targów z naszej strony. Skoro tak się ma rzecz, nie wypada uczynić nic innego, tylko wysnuć jeden wniosek: spójrzmy na to bez sentymentu i tolerancji, (mamy do tego słabość) lecz na TRZEŹWO. Nie powiększajmy przynajmniej tych odsetków. Są one i tak wygórowane przecież.

ZOFIA KIELAN

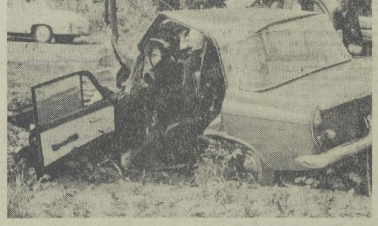

Piękna pogoda i okres urlopowy sprzyjają zwiększeniu ruchu samochodowego na szosach. Kierowco, jedź ostrożnie! Od tego zależy życie twoje i innych CAF — Fot. Maszyszyn

Od Verne'a do Armstronga

DZIŚ — 16 lipca 1969 roku. „Apollo 11", selenonauci: Armstrong, Aldrin, Collins. Gotowe? START — kierunek Księżyc.

8 LAT TEMU. 12 kwietnia 1961 roku. „Wostok". Kosmonauta Jurij Gagarin. Gotowe? START — kierunek kosmos.

STO LAT TEMU. Paryż, czerwiec 1869 roku, w witrynie księgarni na Boulevard de Saint Germain pierwsze wydanie powieści Jules Verne'a pt. „Z Ziemi na Księżyc". START — kierunek fantazja naukowa.

RÓWNO 320 LAT TEMU. Cyrano de Bergerac tłoczy w drukarence przy ul. św. Honoraty rozprawkę rymowaną pt. „Podróż na Księżyc". START — kierunek fantazja poetycka.

*

Jakaż była sto lat temu KOSMOWIZJA pana Juliusza Verne'a?

Była to fantazja artyleryjska. Bohaterem powieści jest monsieur Barbiken, który zakłada „Klub Armatni". Dzielne towarzystwo buduje super-działo z lufą długości ponad ćwierć kilometra, o średnicy prawie trzech metrów. Seleno-armatę zbudowano i wkopano w ziemię w Afryce, na linii równika, aby wystrzał najlepiej synchronizował z torem obiegu Księżyca dookoła Ziemi. Wehikuł księżycowy pana Barbikena było już „armatniej" utopii. Silnik rakietowy ze względu na swój charakter pracy, niezależnej od otaczającej atmosfery stanie się „kluczem do lotów międzyplanetarnych". Sam Ciołkowski nie stroni od science-fiction, pisze powieść „Poza obrębem Ziemi", której bohaterowie budują rakietę wielostopniową i stosują w niej automatyczny sterownik.

*

Ale skoro mowa o rakietach, cofnijmy się z postawionego przez Ciołkowskiego w XX wieku progu ery kosmicznej, o trzy wieki wstecz. Jeszcze raz Paryż KOSMO-wizja dzielnego muszkietera, tęgiego poety i filozofa, posiadacza najdawniejszego w historii nosa — imć pana Cyrana de Bergerac. W roku 1649 wydaje on swą „Podróż na Księżyc". W tuzinie sposobów na opuszczenie naszej planety (powtarza je w swej komedii romantycznej o Cyranie – Edmund Rostand w słynnej scenie rozmowy bohatera z hr. de Guiche) tak bajkowych jak pas z buteleczkami porannej rosy, która porusza ku „sferom niebieskim" pociągnie za sobą żeglarza. Cyrano pisze także o naboju z saletry, która kolejnymi, powtarzowymi wystrzałami wyrzucałaby żeglarza powietrznego ku Księżycowi. To już wizja rakietowa.

Warto, notabene, wspomnieć, że romantyczny autor „Historii kosmicznej o księżycowym państwie", w swych kosmonautycznych fantazjach korzystał także z konsultacji fachowej i to... Polaka. Wspomina mianowicie w innych pismach o skonstruowaniu przez Boratynego, architekta, astronoma i dworzanina królowej Marii Ludwiki, maszyny latającej w kształcie smoka, który unosi się w gwiezdne regiony „ruchem skrzydeł ptaki naśladując, a kieruje jak sterem, ogonem..."

*

Przed Cyranem, księżycowa fantazja rozpaliła wyobraźnię angielskiego pisarza Williama Godwina, który w 1638 roku napisał opowieść pt. „Człowiek na Księżycu". Bohater jej, Gonzales, wyrusza w kosmos na... kiju przymocowanym do latawca, który ciągnie zaprzęg dzikich gęsi.

*

Z fantazji brytyjskiej przenieśmy się nad Wisłę. Jeszcze kosmiczne polonica.

Księżycowy pojazd Króla Stasia

Wojciech Borga

umyślił sobie Verne z aluminium, szybkość podróży określił na 11,2 kilometra na sekundę... „Klub Armatni" pojazdowi nadał nazwę „Kolumbiada".

*

Hipoteza literacka Verne'a o formach podróży na Księżyc była oczywiście nierealna. Żaden wystrzał z największego nawet działa z wykorzystaniem klasycznego materiału wybuchowego nie nadałby pojazdowi kosmicznej prędkości. Siła wystrzału zmiażdżyłaby pojazd jeszcze w lufie działa, nie mówiąc już o braku możliwości korygowania linii lotu, hamowania przy lądowaniu itp. A jednak powieści o „Kolumbiadzie" nie można nazwać tylko poetycką banialuką. Verne przedstawił w niej szereg cennych (– i jak się okazało – realnych) obliczeń, tak np. w zakresie prędkości pocisku pomyli się zaledwie o 0,4 km na sek. Zmieścił w swej fantazji szereg trafnych hipotez, korzystając szeroko z wiadomości naukowych, którymi sto lat temu wiedza dysponowała. Pisarz zaangażował sobie nawet konsultanta fachowego w osobie brata, astronoma z zawodu.

Te warsztatowe szczegóły, pozwalają nam powieść o monsieur Barbikenie nazwać czymś więcej, aniżeli baśnią. Był to nowatorski zaczątek twórczości typu „science-fiction". I przez tak potraktowaną ideę zdobycia kosmosu – była to powieść prekursorką dzisiejszych faktów, inspiratorką poszukiwań naukowych.

*

W trzydzieści lat bowiem po opublikowaniu powieści Verne'a, ideę fantasty reprezentuje genialny teoretyk kosmonautyki – **Konstanty Ciołkowski.** W 1895 roku przedstawia on projekt sztucznego stworzenia na Ziemi warunków, jakie spotka człowiek w czasie lotu w kosmosie. Trening na przeciążenie i stany nieważkości. W 1903 roku publikuje dzieło „Badanie wszechświata za pomocą rakiet". Opracowuje konstrukcje, silnik, urządzenia sterownicze, technologię. W tej KOSMO-wizji nie

Z udziałem bardzo dostojnych eksperymentatorów i fantastów, poety Stanisława Trembeckiego i samego króla Stasia, którego tamten był szambelanem. Otóż dla odprężenia się od trudu bajkopisarskiego, postanowił imć szambelan spróbować laurów technika i naukowca. Pod wpływem sensacyjnych wówczas pierwszych wzlotów balonem, postanowił skonstruować machinę latającą, doskonaloną od kuli braci Montgolfier. Opracował Trembecki z pełną „dokumentacją techniczną", projekt pojazdu składającego się z balonu z gondolą opatrzoną z jednego boku płytą żelazną, oraz latawca, który by szybował przed balonem mając w ogonie umieszczony magnes. Wznosząc się ku górze „magnes rzecząą naturalną przyciągałby ku sobie blachę żelazną i z nią gondolę żeglarza. Rzecz by polegała tylko na dyrygowaniu latawcem przy pomocy dyszelka per attractionem, aby i do planet dojść".

Bajkopisarz wymyślił, ludzisko się pośmiali? Gdzież tam! Król Staś przyjął projekt całkiem serio. Jako zadedykowany sobie, obdarzył zaszczytem współautorstwa i anonimowo przesłał do oceny... akademiom nauk w Berlinie i w Petersburgu. Dyskrecja, a może złośliwość dworaków, incognita jednak nie utrzymała – i Akademia Berlińska, z pełnym szacunkiem dla dostojnego współfirmanta wynalazku, orzekła o jego nieprzydatności „gdyż projektowany przyrząd nie jest w stanie wytworzyć żadnej siły działającej ubocznie, zdolnej zmienić kierunek ruchu nadawanego przez wiatr".

*

Miał więc Verne swych poprzedników. Ale to on sto lat temu dokonał jednak przełomu, opierając fantazję na dostępnych wówczas zdobyczach wiedzy. Naśladowcy, których zrodził, tworzyli już w rygorach science fiction. Tok jak H. G. Wells w „Pierwszych ludziach na Księżycu", jak tem w „Milczącej gwieździe".

Dziś — owe „księgi mitów i fantazji" – stały się prehistorią faktów przez LUDZI dokonanych.

NA OSTRZU NOŻA

Dokończenie ze str. 1

pulpit w czasie jednej zmiany musi iść przeciętnie 250 razy w górę.

Tadeusz III, mistrz Kaleciński, prowadzi mnie swoim tokarskim działem. Od maszyny do maszyny. Widzę wszędzie skrzyneczki, z gwiżdżkami, hebelkami, tablicami ze światełkami, sygnalizacyjnymi. Nawet tako zaś, rozpoznaję, że są to nowe przybudówki do starych korpusów maszyn. Widzę pomieszy tymi dwoma elementami — system drutów, rurek, polewniczków. Wśród nich ciężkie korzystnie prowadzą na stoły dźwignie — odpoczywają w roli „energetyków" i rezerwów linijne metalem nieoksydowanym wilgocią potu siadem linii papierowych. Tu w grę wchodzą bowiem tylko palce robotnika nacisjające guziczki i hebelki. Hydraulika, pneumatyka, elektromagnesy. Elementy drugiej młodości tych tokarek i frezarek. Ale na żadnej z tych przystawek nie widzę etykiet producenta, czy ochronnych znaków inspekcji. Ta modernizacja jest od „A do zet" dziełem załogi. Konstruktorów i technologów, jak inżynierowie: Maciejewicz, Kulak, Sullmir, robotników narzędziowni — czy raczej pomocnicy produkcji własnej maszyn, jak ślusarze: Błachnia, Kukiełka. Dogiel. „Odjeżdżący" wszystkich nowych konstrukcji, jak udzie mistrza Kalesinskiego. Wszyscy razem tworzą Klub Postępu Technicznego SIMP. Ta mesmorfoza maszyn ogólnych w specjalistyczne, w półautomaty i automaty — to też rezerwy!

— A jakże chcecie? — mówi członkowy budowniczy, **Piotr Błachnia**, ślusarz i radny miasta — Reżemy cykl operacji trzyma cię jak na lince w każdej sekundzie przy maszynie. Automat wymaga tylko kontroli, półautomat — założenia elementu i adjęcia po obrobce. Robotnik ma tu pięć dziesięć minut czasu „luźnego". Czasem pół godziny w każdym cyklu. Więc stawiamy mu drugą, często i trzecią maszynę obok. Dawny „niewolnik" korby i dźwigni — staje się wielowarsztatowcem.

Rozumiem teraz, dlaczego w analizie możliwości mogli dopracować się wniosku: o 12 procent więcej produkcji. W tym samym składzie załogi.

IV

Dyrektor, **inż. Ryszard Rakowski**, mówi: — Nas nie trzeba przestrzegać przed złą tendencją osiągania wzrostu produkcji na drodze zwiększania zatrudnienia. Tak abstrakcyjnie: załóżmy, dali by nam 50 nowych etatów... Podziękujemy, bo ludzi w Jeleniej Górze nie dostaniemy i nie tędy nasza droga. Przez minione lata: albo kruk naprzód, albo degradacja, a krok był możliwy tylko w postępie technicznym, tylko wydajnością.

Biograficznie obrazuje mi sens tego mistrz Kaleciński:

— Gdy w drodze powrotnej z Niemiec w 1945 roku, z przymusowej pracy przy remontach łodzi podwodnych, zawadziłem o Jelenią Górę i tu się zakotwiczyłem, to produkowaliśmy — śmiech pomyśleć: pompki do rowerów i odważniki. Po kilku latach dźwigniśmy się — ho, ho — do produkcji pistoletów do metalizacji i gaźników dla SHL. W latach pięćdziesiątych, powiedzieliśmy pierwsze wielkie słowo do przyszłości — rozpoczęliśmy robić gwintowniki. A teraz...

— Wiem, narzędzia ze stali szybkotnącej, z węglików spiekanych, giewice frezarskie.

— No! A jutro...

— Też wiem: kilka tuzinów ciekawych pomysłów czekających z niecierpliwością na zapowiedziane nowe gatunki stali...

— A guzik! — przerywa Tadeusz III — „Guzik wyjdzie nam z tego" — powiedzieliśmy sobie w załodze, jeśli z założonymi rękami będę emy czekać na owoce inwestycji „dyszące" na 140 milionach i z ubolewaniem rezygnując z zamówień na 50 mln zł. Jakbyśmy tylko na inwestycje i etaty liczyli, do dziś by były jeszcze te pompki i odważniki.

V

O inwestycji — to nie jakaś metafora. Metoda, przez ubiegłe lata ustawicznie krok naprzód drogą postępu z własnej kuźni i wydajności, przyniosła im inwestycję, którą I etap już trwający, ma dać w 1970 roku nową halę, pozwalającą do nowych konstrukcji dodać nową technologię. Ziapali w żagle doory wiatr, ale tym większa chwała dla ich nawigacji.

Tej inwestycji — w klimacie: PLAN OD DOŁU — nie potraktowali jako manny, która sama spadnie gotowa wedle terminu. Przeanalizowali realizację. I dobrze się stało.

Okazało się, że termin 1970 nie tego się zapowiada w postępach roku 1969 przedsiębiorstwa z Wrocławia na placu budowy. Były próby znalezienia wspólnego języka na szczeblu obu dyrekcji. Przeciwstawiły pointy w postaci „obiektywnych trudności": a to ważny inny plac budowy w Świdnicy, a to brak kabli, a to innych materiałów.

Robotnicy te argumenty przymierzyli do swoich codziennych obserwacji. „Nam się widzi — stwierdzili — że nie o kable się tu martwić i świdnickimi priorytety wymawiać. Ale dowiedzieć się, co sprawia, że murarz dziennie kładzie np. tylko sto cegieł?

Zdecydowano koordynację pomiędzy inwestorem a wykonawcą załatwić także od dołu. Akurat dziś, gdy numer ten znajdzie się w kioskach, na placu pomiędzy produkującą za 400 tys. zł dziennie hartownią, a mającą „zgubić" z planu w tym roku 3 mln zł załogą budowy hali — odbędzie się konferencja obu załóg. Po robociarsku.

— My się chcemy tylko spytać towarzyszy budowlańców — mówi sekretarz Rosiakowski — czy chcą nam pomóc dotrzymać naszego słowa w odpowiedzi na uchwały II plenum: że uważamy za realne na miarę naszych ambicji i możliwości tworzonych przez te inwestycje dojść w przyszłej pięciolatce do produkcji narzędzi dla przemysłu za 600 milionów złotych rocznie?

Czy to jest pytanie na „ostrze noża"? Nie, w klimacie tej narady, w klimacie z uchwał II plenum — jest to problem na gospodarską solidarność robotnicza.

RAFAŁ SZARUGA

OWOCE BRATERSKIEJ WSPÓŁPRACY

Karol Rzemienicki

JEST akurat pora, aby przypomnieć pewien szczególny fakt: oto za parę tygodni minie termin ważności, a równocześnie 20 rocznica wydania w USA ustawy o eksporcie, zabraniającej sprzedaży krajom socjalistycznym, w tym także Polsce – szeregu towarów, z maszynami włącznie. Ponieważ inne kraje Zachodu przez wiele lat robiły to samo, a z własną wytwórczością było w 1945 roku przeraźliwie chudo i krucho – fabryki Leningradu, Moskwy, Charkowa, Kramatorska, a także Pilzna, Magdeburga i Budapesztu stanowiły dla nas przez pewien czas prawie jedyne źródło zaopatrzenia w maszyny i urządzenia potrzebne dla zrealizowania wielkiej idei industrializacji kraju.

Ale i później, gdy już uporaliśmy się z kwestią żelaza, stali, cementu, cegły, zapałek i pora była przejść do wyższej klasy rozwoju gospodarczego, sięgnąć poprzez petrochemię, po własne masy plastyczne i tkaniny non iron, po szlachetne gatunki stali, lodówki, telewizory, helikoptery i inne wzorce nowoczesności – mogliśmy, nie oglądając się za złotem i dolarami, korzystać w dalszym ciągu, na prawach wzajemności, z pomocy, doświadczeń oraz sprzętu inwestycyjnego innych krajów socjalistycznych.

Tylko w 10-leciu 1959–1968 zakupiliśmy w krajach socjalistycznych prawie 20 tysięcy obrabiarek do metali (w tym większość w NRD i Czechosłowacji), ponad 20 tysięcy ciężarówek (głównie w ZSRR), kilkaset tysięcy ton urządzeń dla energetyki, hutnictwa, fabryk chemicznych, włókienniczych, spożywczych. A w całym powojennym 25-leciu zakupiliśmy w krajach socjalistycznych maszyny i urządzenia przemysłowe o łącznej równowartości przeszło 8 miljardów dolarów, licząc w cenach bieżących. Chcąc kupić cały ten sprzęt w krajach kapitalistycznych – nawet gdyby było to możliwe ze względów politycznych (embargo) – musielibyśmy przeznaczyć na to w przybliżeniu niemal miljard ton węgla kamiennego. Inna rzecz, że takiej astronomicznej ilości nikt nawet by nie kupił za całe 25 lat...

Największym naszym dostawcą sprzętu inwestycyjnego, a zwłaszcza kompletnych obiektów przemysłowych, był od początku naszego 25-lecia Związek Radziecki. Przy kredytowej i technicznej pomocy ZSRR zbudowano w Polsce około 500 zakładów przemysłowych, z których znaczną część stanowią zakupione w ZSRR kompletne obiekty wytwórcze.

W rezultacie kredytowych dostaw dóbr inwestycyjnych z krajów socjalistycznych – obok Nowej Huty, FSO, Zakładów Azotowych Kędzierzyn, Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie i Fastach, cementowni Wierzbica, huty aluminium Skawina, szeregu wielkich elektrowni, stoczni i innych zakładów, których nazwy weszły już do podręczników szkolnych – mamy już przerabiający rocznie 6 miljonów ton ropy naftowej Płock (30 proc. urządzeń – z ZSRR); budujemy największy w Europie kombinat solowy w Puławach (50 proc. urządzeń – z Czechosłowacji); dorobiliśmy się fabryk stylonu, włókien poliamidowych, polietylenu, kopalń miedzi i siarki; produkujemy maszyny matematyczne, izotopy radioaktywne i elementy automatyki dla elektrowni atomowych.

Cały ten narastający majątek narodowy z roku na rok zmienia strukturę gospodarczą kraju, pomnaża dochód narodowy, nanosi historyczne poprawki do określeń towarzyszących hasłu: „Polska" w encyklopedii wiedzy ekonomicznej. Już nawet nie „kraj przemysłowo-rolniczy", ale „kraj przemysłowy" zaczyna bardziej pasować do wizerunku Polski u progu lat 70, po ćwierć wieku zaledwie liczącym okresie odbudowy powojennej i socjalistycznego budownictwa.

Kraj przemysłowy – to znaczy produkujący, w przeliczeniu na 1 mieszkańca, 354 kg stali, wobec 42 kg przed wojną oraz 430 kg stanowiących w 1966 roku średnią czterech najbardziej rozwiniętych krajów Europy zachodniej (Wielkiej Brytanii, Francji, NRF i Włoch). Kraj przemysłowy – a więc wytwarzający dziś na głowę ludności ponad 1,6 tysiąca kWh energii elektrycznej, wobec 0,1 tys. kWh w ostatnim roku przed wojną, czy – na tysiąc mieszkańców – 12 obrabiarek do metali, wobec jednej przed wojną; kraj, którego eksport składa się dziś w 37 proc. z maszyn i urządzeń, podczas gdy przed 30 laty tylko w 1 proc.

SPRZĘT inwestycyjny, to jednak nie wszystko; wiele naszych osiągnięć gospodarczych tkwiłoby dotychczas w sferze fantazji i niespełnionych marzeń, gdyby nie realna, braterska pomoc ZSRR oraz pogłębiająca się współpraca z krajami socjalistycznymi w ramach RWPG w zakresie nauki i postępu technicznego. Począwszy od roku 1947 do dziś, otrzymaliśmy z ZSRR ponad 6 tysięcy kompletów gotowej dokumentacji technicznej na budowę szeregu obiektów wytwórczych i innych oraz technologicznej – na produkcję szeregu wyrobów, w których wytwarzaniu nie mieliśmy doświadczenia ani możliwości. Znajdują się wśród nich m. in. projekty elektrociepłowni, urządzeń walcowniczych o dużej wydajności, konwertorów do wytopu metali kolorowych, dokumentacja technologii reformingu katalicznego, produkcji szeregu urządzeń przemysłowych, produktów chemicznych, statków, samochodów.

Wiele setek kompletów dokumentacji wymieniliśmy również z innymi krajami socjalistycznymi. Dało to nam w sumie na czysto zarobek – na czasie: nie musieliśmy sami wymyślać od nowa prochu ani odkrywać Ameryki w wielu dziedzinach współczesnej wiedzy i postępu technicznego. W szerokim zakresie korzystaliśmy również z cennych doświadczeń w dziedzinie planowania, organizacji procesów wytwórczych i zarządzania gospodarką narodową, z czego korzyści są wprawdzie niewymierne, ale w procesie rozwoju naszego kraju – bezsporne.

Wreszcie, nie do pomyślenia byłby nasz rozwój bez istnienia ogromnego rynku krajów socjalistycznych, na którym nie ma zjawisk typowych dla kapitalizmu z bezwzględną, nie przebierającą w środkach konkurencją i żywiołowo działającym prawem wartości; rynku, w odniesieniu do którego planować można dostawy i zbyt na wiele lat naprzód. Dotyczy to zarówno możliwości zakupu szeregu surowców i materiałów, w tym wielu uważanych w świecie za „strategiczne", jak też zbytu naszej produkcji.

Dostawami z krajów socjalistycznych pokrywamy obecnie (dane za rok 1967) m. in. 100 proc. importu ropy naftowej i nawozów sztucznych, 97 proc. importu aluminium, 86 proc. importu rud żelaza, 82 proc. importu wyrobów hutniczych, 57 proc. importu bawełny, 51 proc. importu zbóż. Krajom socjalistycznym dostarczamy większość sprzedawanych za granicą maszyn i urządzeń oraz produktów chemicznych, a także znaczne i wciąż wzrastające ilości przemysłowych towarów konsumpcyjnych. Na rynek socjalistyczny przypada aktualnie 65 proc. obrotów polskiego handlu zagranicznego.

Wymiana handlowa z Polską stała się dla innych krajów socjalistycznych jednym z warunków szybkiego rozwoju. Dostawy polskich surowców stanowią podstawę rytmicznej pracy wielu setki przemysłu NRD, Węgier czy Czechosłowacji, nasze maszyny odgrywają poważną rolę w zamierzeniach inwestycyjnych innych państw socjalistycznych, polskie towary konsumpcyjne cieszą się powodzeniem w sklepach Moskwy, Berlina czy Budapesztu. Nasza myśl techniczna i naukowa służy nie tylko nam, ale również innym społeczeństwom socjalistycznym. Przyjmujemy pomoc naszych przyjaciół z pełną świadomością, że jesteśmy im również niezbędni.

STRZELNICA CZYNNA NON STOP

Witold Stankiewicz

OD ATLANTYKU po Pacyfik dudni donośna kanonada. Trup ściele się gęsto na szklanych ekranach. Z małymi przerwami przeznaczonymi na audycje reklamujące mnóstwo różnych osobliwości, cuda i cudeńka, trwa nieustające pasmo „westernów", przeplatanych od czasu do czasu, dla urozmaicenia „eastermami". Te ostatnie to telewizyjne reportaże z Wietnamu. Jeszcze ciekawsze od westernów, bo wszystko w nich prawdziwe: i napalm, i zabici, i ranni, i krew. Dziennik „Christian Science Monitor" wyliczył, że w godzinach wieczornych przeciętnie co 16 minut na ekranach telewizyjnych w USA dokonuje się morderstwa. Tygodnik „Saturday Review" alarmuje, że co wieczora amerykańscy telewidzowie oglądają 93 sceny „sadystycznej brutalności". Komisja senacka zajmująca się programem telewizji nie dostrzega jednak w tej ciągłej prezentacji zbrodni niczego zdrożnego. Wprost przeciwnie. Przerażające w swej wymowie, lakoniczne stwierdzenie wysokiej komisji, że „telewizja wymaga akceptowania przesadnej przemocy jako normalnego codziennego zjawiska" posiada całkiem jednoznaczną wymowę. Jest akceptacją istniejącego stanu rzeczy. Walter Lippmann napisał: „Komercyjna eksploatacja radości ze zbrodni i okrucieństwa jest najlepszą drogą do zniszczenia podstaw cywilizowanego narodu".

Ta słuszna wypowiedź nestora amerykańskiej publicystyki nie została zauważona przez władze federalne. Wszystko toczy się nadal ułortym trybem – supermorderstwom na ekranach telewizyjnych towarzyszą morderstwa na ulicach miast.

Statystyka FBI wykazuje zastraszający wzrost ciężkich przestępstw kryminalnych. W porównaniu z 1967 rokiem w ubiegłym roku ilość zabójstw wzrosła o 15 procent, a zgwałceń było o 17 proc. więcej.

W liczbach bezwzględnych ponury bilans zd r. 1968 przedstawia się następująco: 14 500 morderstw, 31 300 zgwałceń, 261 500 napadów rabunkowych z bronią w ręku, 290 000 poważnych uszkodzeń ciała, – 1885 000 włamań. Jak podaje oficjalny raport podpisany przez szefa FBI, J. Hoovera, w r. 1968 jeden na 300 obywateli amerykańskich był przedmiotem zbrodni.

Najbardziej jednak wstrząsającym fragmentem tego raportu jest ujawniony fakt wskazujący na to, że głównymi sprawcami owych aktów zbrodni i gwałtów, jest młodzież w wieku poniżej 18 lat. Co piąte morderstwo popełniane jest przez dziecko.

GDZIE szukać przyczyn tych faktów, czy tylko w krwiożerczych programach amerykańskiej TV? Uważam, że odpowiedź twierdząca byłaby grubym uproszczeniem. Na pewno i telewizja budząca najniższe instynkty prymitywnych odbiorców, nie jest tu bez winy. Jest ona jednak, a raczej jej program, produktem określonego systemu.

Ponad 100 miljonów sztuk broni palnej znajduje się w St. Zjednoczonych w posiadaniu prywatnym. Oznacza to, że co drugi statystyczny obywatel USA dysponuje potencjalnym narzędziem mordu.

W dniu, kiedy w Los Angeles zamordowano senatora Roberta Kennedy'ego, brata zastrzelonego w Dallas prezydenta, ośrodki telewizyjne zawiesiły emitowanie programów. Na przerażająco białych ekranach widniało wypisane czarnymi literami słowo – shame! – (hańba!)

I wydawało się wtedy wielu ludziom, że miarka się przebrała, że senat wyda ustawę, która sprawi, że nabycie pistoletu stanie się trudniejsze od kupna lekarstwa w aptece. Gangsterska „lobby" producentów broni, a potężny to biznes, raz jeszcze postawiła na swoim. Senat ustawy nie wydał. Jedynie L.B.J. ówczesny prezydent USA zwrócił się z mdłym apelem do społeczeństwa molestując właścicieli różnych coltów i pistoletów automatycznych, by dobrowolnie zrezygnowali z ich posiadania. Apel ten osiągnął rezultat niemal równy zeru i spotkał się z oburzeniem amerykańskich rewolwerowców.

Przemoc z taką finezją i perwersją pokazywana w telewizji i to, co się dzieje w milionowych slumsach mizachodząca między zbrodniami w telewizji a morderstwami i gwałtami na ulicach, może być hałaśliwy protest sporej części amerykańskich telewidzów krytykujących serial filmowy o Robin Hoodzie, który jak wiadomo dzielił swoje łupy wśród ubogich. Z uzasadnieniem, że jego zbrodnie były „nieamerykańskie" lecz „komunistyczne" zdjęto ów serial ze szklanych ekranów.

ANGLICY powiadają – „jeżeli nie możesz kogoś pokonać – przyłącz się do niego". Dewizie tej hołduje spora część amerykańskich „policemenów", którzy sami poniekąd stają się gangsterami. Cytowany poprzednio Kai Hermann w publikacji – „Plaga gwałtu dławi Amerykę" pisze o powiązaniach policyjno-gangsterskich co następuje: „Syndykaty przestępcze, które powstały już w latach dwudziestych, opanowały dziś przemyt narkotyków, nielegalne gry i totalizatory. Kontrolują i monopolizują legalne przedsiębiorstwa i organizacje związkowe, przekupują policję i polityków. Mówi się o nich rzadko i niechętnie. Jeśli jednak dochodzi kiedyś do niedyskrecji, wówczas ani opinia publiczna, ani oficjalne urzędy, nie zwracają na to uwagi.

Dokumenty, z buchalterii najpotężniejszej organizacji przestępczej wpadły już rok temu w ręce policji, kiedy ówczesny szef policji kryminalnej, Dufy przy pomocy organów federalnych zlikwidował jedną z wielu nielegalnych loterii. Tylko to jedno biuro totalizatora „Cosa Nostra" opłacało policjantów, w tym także funkcjonariuszy na kierowniczych stanowiskach w dziesięciu okręgach. Punktualnie każdego pierwszego, funkcjonariusze policji otrzymywali swoje pieniądze, najczęściej za pośrednictwem jednego z kolegów, który miał funkcję kasjera.

Na marginesie tych stwierdzeń Kai Hermanna, warto odnotować, że boys kreowani przez swego szefa, pana Hoovera mają za to osiągnięcia w innej dziedzinie – w ściganiu faktycznych i domniemanych komunistów.

Hoover na posiedzeniu komisji senackiej zajmującej się sprawami wewnątrzamerykańskimi, chełpił się, że FBI w jednym tylko 1965 r. zarejestrowała, inwigilowała i przeprowadziła dochodzenia wobec sześciuset tysięcy obywateli podejrzanych o współdziałanie z na pół legalną Komunistyczną Partią Stanów Zjednoczonych.

Uwzględniwszy fakt, że partia ta liczy około 15 tys. członków dokładnie spisanych i odnotowanych w wiadomych kartotekach, funkcjonariusze FBI poddali badaniom ponad półmilionową grupę ludzi, o których można powiedzieć, że są co najwyżej różowi, lecz w żadnym wypadku nie czerwoni.

Dzięki temu wiemy jednak, kto jest głównym przedmiotem działania policji amerykańskiej, że jest to bynajmniej nie świat przestępczy. Ten punkt ciężkości zainteresowań amerykańskiej policji staje się dodatkową przyczyną, która sprawia, iż targana sprzecznościami i konfliktami społecznymi Ameryka w coraz większym stopniu przypomina bardziej jakąś makabryczną strzelnicę, niż normalny, kulturalny kraj.

E KSTREMA rodzą ekstrema – stara to prawda, czyli parafrazując wiersza, rzec by można gwałt gwałtem się odciska, albowiem strzelają także Murzyni. Jeden z przywódców „Czarnych Panter" (radykalna, skrajnie lewicowa promoistyczna organizacja młodzieży murzyńskiej – przypi. aut.) Eldrige Clearer, przebywający obecnie na emigracji w Hawanie, młody radykał murzyński rzucił hasło – „Czarne pantery mogą strzelać do białych świń – jeśli nie dadzą się nabrać na parę nędznych dolarów".

To zawołanie realizują w miarę swych mizernych w porównaniu z policją możliwości doprowadzeni do stanu skrajnej depresji młodzi Afroamerykanie. Obrońcy amerykańskiej odmiany kapitalizmu, rodzącego rasizm, gwałt i społeczną niesprawiedliwość powiedzą być może, że wszystkie te okropieństwa, to sprawy społecznego marginesu i dodadzą „obiektywistycznie", że każdy kraj ma swoje patologiczne wrzody i narośla, ale nie każdy potrafi wysłać ludzi na Księżyc... Tak to prawda z Księżycem i z patologią społeczną, ale prawda niepełna, bo to, co gdzie indziej jest rzeczywiście sferą zjawisk marginalnych w Ameryce marginesem dawno być przestało. Nie jest marginesem ludobójcza wojna w Wietnamie, która dzięki telewizji wkroczyła do mieszkań amerykańskich, nie są marginesem slumsy, w których mieszka w warunkach urągających elementarnym wymogom sanitarno-epidemiologicznym ponad 30 milionów kolorowych i półkolorowych obywateli, gdzie dziesięcioletni chłopcy za kilka centów idą za homoseksualistami, a 12-letnie dziewczynki zachodzą w ciążę, gdzie żyją dzieci, które nie umieją czytać, ale za to potrafią sobie robić zastrzyki z heroiny.

Marginesem nie jest także fakt masowego korumpowania stróżów ładu i porządku, przybierającego formę „miliardowego spisku" (określenie New York Times). Aż dziw bierze, że przywódcy tego kraju nie będący w stanie uporać się z bałaganem na własnym podwórku, wykają nos w cudze sprawy i usiłują „american way of life" narzucić nie tylko swoim sąsiadom.

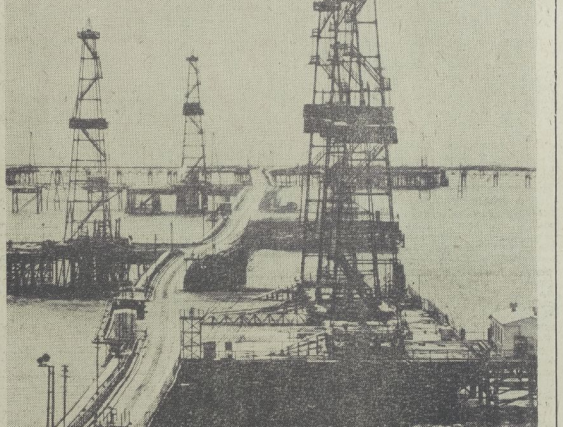

Morze Kaspijskie — bogaty teren roponośny — pokryty jest w strefie przybrzeżnej siecią dróg — długości 200 km — łączącą poszczególne wieże wiertnicze. Obecnie prawie połowa ropy naftowej wydobywanej w Azerbejdżańskiej SRR pochodzi z szybów głębionych w dnie morskim.

CAF — TASS

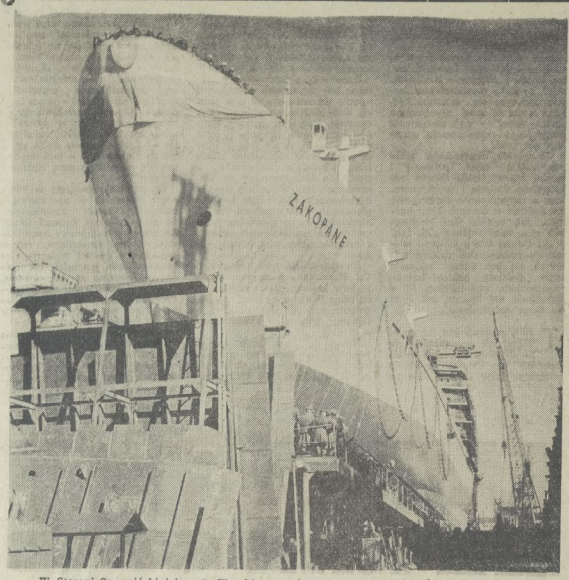

W Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego wodowano nowy statek m/s „Zakopane", pierwszy z serii tzw. „jeziorowców". Armatorem jego będą PLO. Na zdjęciu: Przed wodowaniem. CAF — Fot. Witusz

MORSKA ZAMOŻNOŚĆ

Bernard Belicki

Był rok 1943. Deklaracja Programowa Polskiej Partii Robotniczej stawiała postulat: „Wszystkie ziemie polskie muszą być włączone do państwa polskiego... Na zachodzie i nad Bałtykiem musimy odzyskać ziemie etnograficznie polskie, wynarodowione i zgermanizowane przemocą...".

Deklaracja Ideowa Związku Patriotów Polskich w ZSRR z dnia 10 czerwca 1943 roku głosiła: „Nawiązując do wspaniałych tradycji wielkich budowniczych państwa polskiego — Bolesławów, Łokietka — dążymy do umocnienia Polski na zachodzie i nad Bałtykiem..."

A kiedy na wyzwolonym skrawku ziemi polskiej powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, jego Manifest wzywał: „...do walki o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą!".

*

Jest rok 1969. Ćwierćwiecze mija od dni ogłoszenia tamtych wezwań narodowi polskiemu, wezwań pełnych patosu i konkretnych zadań. Jaki jest dzisiaj stan naszego morskiego posiadania? Wiemy: ponad 500 km długości pas wybrzeża; trzy wielkie porty, stocznie, flota handlowa i rybacka, uzdrowiska i kąpielska nadmorskie, Marynarka Wojenna — rękojmia nienaruszalności naszego Wybrzeża.

*

Z Wybrzeżem związany jestem od lat dwudziestu czterech. Pod koniec 1945 roku wydawało się, że zostanę co najmniej rybakiem, ale los zrządził inaczej i po kilku miesiącach wróciłem do Wrocławia. Następne lata przyniosły jednak coraz częstsze wojaże do różnych punktów 500-kilometrowego pasa od Piasków po Świnoujście. Nie były to jedynie wojaże urlopowo-wczasowe, stąd możność konfrontacji, corocznych dokonań gospodarczych i kulturalnych w nadmorskich województwach.

*

Ilekroć bywam w Koszalinie, niezmiennie odwiedzam swego przyjaciela, byłego Dolnoślązaka, od lat pięćdziesiątych mieszkańca Koszalina — Henryka S. W małym domku na przedmieściu siedzimy zazwyczaj głęboko w noc i wspominamy, przeplatając te wspomnienia relacjami o zmianach, zachodzących w Koszalińskiem i Wrocławskiem.

— Dobrze, że jesteś — powiedział Henryk, kiedy otwierał mi niedawno drzwi. — Chciałem ci już o tym napisać...

— O czym?

— Chodź, usiądź, odpocznij — Henryk machnął lekceważąco ręką.

— Po prostu przymierzam się. No, co tak patrzysz? Przymierzam się do Kołobrzegu. Chcę się tam przenieść. — Napełnił kieliszki, usiadł i podsunął mi cukier. — Będziemy dopędzać nasze trzy giganty.

Mieszałem kawę i zastanawiałem się, o co Henrykowi chodzi. On tymczasem zaczął mi sypać faktami i liczbami dotyczącymi Kołobrzegu.

— Wiesz, ile kosztowała odbudowa Kołobrzegu? Na samym początku miliard. Na port poszło ponad 50 milionów! A wiesz, ile ryb wam dajemy? 40 procent połowów całego Wybrzeża! I co? Spójrz na mapę! — Sięgnął znowu do przysadzistej szafy, rozpostarł przede mną barwną płachtę, stuknął w nią palcem. — Z jednej strony ten — Szczecin, z drugiej aż dwa — Gdańsk i Gdynia! A my, nasze województwo zajmuje najwięcej morskiego brzegu, a porty? Kołobrzeg, Ustka, parę porcików rybackich! — Zapalił się do tematu, nie jak zwyczajny śmiertelnik, a jak co najmniej jeden ze znaczniejszych ojców województwa. Nie tylko rozbudowa portu w Kołobrzegu do rozmiarów Gdańska i Gdyni razem wziętych. Słuchałem jego gorących wywodów i zapytywałem w duchu, ile też podobnych zapaleńców znaleść można na ziemi koszalińskiej.

*

Spaces po Koszalinie. Pamiętam zimę z 1955 na 1956 rok. Noc, mróz, śnieg dzwoni pod stopami jak szkło. W miejscowym „hotelu" (pokój czy dwa o kilku łóżkach) miejsc oczywiście nie ma. Zaspana portierka informuje, że hotele są w Słupsku. Ba, ale do Słupska będzie dopiero rano pociąg. Odnalazłem wówczas Henryka i u niego znalazłem schronienie.

Miasto było wówczas na przedprodu swej odbudowy. Kilkanaście tysięcy mieszkańców, część urzędów i instytucji wojewódzkich w Słupsku, uważającym siebie za miasto godne siedziby władz województwa (miał nawet tramwaje) i koso spoglądającym na Koszalin. Dziś jest Słupsk zresztą także największym miastem województwa, dystansuje o kilka tysięcy mieszkańców Koszalin, liczący dziś trzykrotnie więcej ludności niż w roku 1950.

Spacer pobudza jednak do szerszych refleksji, wybiegających daleko poza Koszalin. Jest on bowiem symbolem dwudziestoczteroletniego gospodarowania Polski Ludowej nad Bałtykiem i to, co jest symptomatyczne dla niego, rozciąga się również na wszystkie nasze nadmorskie miasta, na cały dorobek Wybrzeża. Zajmujemy bowiem pierwsze miejsce w świecie pod względem budowy statków rybackich, nasza flota handlowa jest na 18 miejscu; w roku 1968 przeładowaliśmy w natownie tuż koło mnie. Uchylają się drzwiczki, Henryk macha ręką.

— Wsiadaj szybko, jedziemy do Kołobrzegu!

— Nie wiedziałem, że masz samochód — dziwię się.

— Bo nie mam — śmieje się Henryk. — Jeszcze nie, dopiero w przyszłym roku zaplanowany. Pożyczyłem od znajomego.

Wyjeżdżamy z miasta. Oglądam się. Nad równiną dominują wysokie, nowoczesne bloki; gdzieniegdzie dźwigi. W Kołobrzegu Henryk czuje się zadomowiony. Oprowadza mnie po mieście, rzucając informacjami o zabytkach, o nowych budowlanych. Czuje się po trosze jak obcokrajowiec w towarzystwie przewodnika. Bo też miasto jest mi zupełnie obce. Gapię się na jaśniejące w słońcu domy. Wydaje mi się, że tak niedawno widziałem tutaj zakopane ściany o pustych oczodołach okien, hałdy gruzu, kratery lejów po bombach i pociskach ciężkiego kalibru. To był marzec roku 1945. Ósmego dnia tego miesiąca jednostki I Armii Wojska Polskiego dotarły do przemania Wału Pomorskiego na Bałtyku w rejonie „Festung Kolberg". Zacięte walki o miasto trwały dziesięć dni. Wypierano hitlerowców krok po kroku z każdej ulicy, z każdego domu. Osiemnastego marca był Kołobrzeg wolny. Jako pierwszy polski port morski.

Henryk ciągnie mnie w stronę portu.

— No, popatrz — mówi. — Dochodzimy do 200 tys. ton rocznego przeładunku. A wiesz, ile mogliśmy przeładowywać? Trzy razy, ba — cztery razy więcej. Musimy jednak port przebudować. Nowe torowiska, nowe magazyny, nowe urządzenia dźwigowe, inaczej usytuowane nabrzeża. Myślisz, że do tego nie dojdziemy?

Obok nas przechodzi właśnie kilku marynarzy naszej floty wojennej. I znowu nachodzi mnie refleksja, że nasza „morska zamożność" brała swój początek na skrawku wyzwolonej ziemi lubelskiej, gdzie dwadzieścia pięć lat temu powstał zalążek ludowej Marynarki Wojennej: Zapasowy Batalion Marynarki Wojennej. Gromadził on w Lublinie wszystkich ludzi morza, których losy wojenne rzuciły na wschodnie rubieże kraju, do Związku Radzieckiego. Przez Warszawę, Kutno, Włocławek i Tczew dotarł Batalion Morski już 3 kwietnia 1945 roku do Gdańska i Gdyni, objął straż nad polskim Bałtykiem.

Rozpoczął się trudny, jakże owocny okres budowania od podstawy naszej morskiej zamożności. Deklaracja Programowa Polskiej Partii Robotniczej, Manifest PKWN wskazały cel, realizowany konsekwentnie przez nasze 25-lecie.

*

15 kwietnia 1945 roku wspólna odezwa PPR, PPS, SL i SD wzywa naród do szybkiego zagospodarowania naszych ziem nadmorskich podkreślając, że:

„...przyszł się od polskich statków handlowych i okrętów wojennych pod polską banderą Morze Bałtyckie, polskimi wezłami handlowymi staną się Gdynia, Gdańsk i Szczecin...".

Miasta te i porty leżały w gruzach. Baseny portowe i tory wodne były zaminowane. Miny, pociski różnego kalibru, materiał wybuchowy zalegały cały pas Wybrzeża. Marynarze zebrali tylko w rejonie Gdyni i jej przedmieść ponad 1 000 ton różnej amunicji. Batalion saperów Marynarki Wojennej w okresie od jesieni 1946 roku do lipca 1947 roku skontrolował pas wybrzeża od Braniewa po Szczecin o powierzchni 2 314 km kw. wykrył i rozminował 16 pól minowych, zlikwidował 304 składy amunicji. Specjalne lotne grupy Marynarki Wojennej zniszczyły setki min i pocisków w różnych zakładach przemysłowych i instytucjach na Wybrzeżu. Trałowce radzieckie i polskie oczyszczały baseny portowe, likwidowały pola minowe.

*

Umówiony jestem z Henrykiem na ul. Alfreda Lampego, opodal gmachu Prezydium WRN. Henryka jeszcze nie ma, przyszedłem zresztą wcześniej, przechadzam się więc spokojnie, patrzę wzdłuż ulicy, czy nie zobaczę jego szczupłej sylwetki, poruszającej się zawsze odmierzonym, szybkim krokiem. Zaskakuje mnie syrenka, hamująca raptownie tuż koło mnie. Uchylają się drzwiczki, Henryk macha ręką.

— Wsiadaj szybko, jedziemy do Kołobrzegu!

— Nie wiedziałem, że masz samochód — dziwię się.

— Bo nie mam — śmieje się Henryk. — Jeszcze nie, dopiero w przyszłym roku zaplanowany. Pożyczyłem od znajomego.

Wyjeżdżamy z miasta. Oglądam się. Nad równiną dominują wysokie, nowoczesne bloki; gdzieniegdzie dźwigi. W Kołobrzegu Henryk czuje się zadomowiony. Oprowadza mnie po mieście, rzucając informacjami o zabytkach, o nowych budowlanych. Czuje się po trosze jak obcokrajowiec w towarzystwie przewodnika. Bo też miasto jest mi zupełnie obce. Gapię się na jaśniejące w słońcu domy. Wydaje mi się, że tak niedawno widziałem tutaj zakopane ściany o pustych oczodołach okien, hałdy gruzu, kratery lejów po bombach i pociskach ciężkiego kalibru. To był marzec roku 1945. Ósmego dnia tego miesiąca jednostki I Armii Wojska Polskiego dotarły do przemania Wału Pomorskiego na Bałtyku w rejonie „Festung Kolberg". Zacięte walki o miasto trwały dziesięć dni. Wypierano hitlerowców krok po kroku z każdej ulicy, z każdego domu. Osiemnastego marca był Kołobrzeg wolny. Jako pierwszy polski port morski.

Henryk ciągnie mnie w stronę portu.

— No, popatrz — mówi. — Dochodzimy do 200 tys. ton rocznego przeładunku. A wiesz, ile mogliśmy przeładowywać? Trzy razy, ba — cztery razy więcej. Musimy jednak port przebudować. Nowe torowiska, nowe magazyny, nowe urządzenia dźwigowe, inaczej usytuowane nabrzeża. Myślisz, że do tego nie dojdziemy?

Obok nas przechodzi właśnie kilku marynarzy naszej floty wojennej. I znowu nachodzi mnie refleksja, że nasza „morska zamożność" brała swój początek na skrawku wyzwolonej ziemi lubelskiej, gdzie dwadzieścia pięć lat temu powstał zalążek ludowej Marynarki Wojennej: Zapasowy Batalion Marynarki Wojennej. Gromadził on w Lublinie wszystkich ludzi morza, których losy wojenne rzuciły na wschodnie rubieże kraju, do Związku Radzieckiego. Przez Warszawę, Kutno, Włocławek i Tczew dotarł Batalion Morski już 3 kwietnia 1945 roku do Gdańska i Gdyni, objął straż nad polskim Bałtykiem.

Rozpoczął się trudny, jakże owocny okres budowania od podstawy naszej morskiej zamożności. Deklaracja Programowa Polskiej Partii Robotniczej, Manifest PKWN wskazały cel, realizowany konsekwentnie przez nasze 25-lecie.

OD KUSZY DO RAKIETY

DWIE RÓŻNE BREDY

To samo brzmienie, ale posiadające dwa odmienne znaczenia, choć w obu przypadkach mające związek z wojną i wojskiem. Pierwsza Breda, to miasto w Holandii, w prowincji Północna Brabancja. Było w średniowieczu ważne, silnie ufortyfikowane twierdza. W Bredzie oblegali najpierw Holendrów Hiszpanie, potem — Hiszpanów — Holendrzy przy pomocy Francuzów i Anglików, w końcu odbijając miasto. W 1940 r. Brede zajęli hitlerowcy. Wyzwolili miasto Polacy 29. X. 1944 r. koncentrycznym atakiem i polskiej Dywizji Pancernej.

Druga Breda — to włoski samolot myśliwski, produkowany w wytwórni „Sodeta Italiana Ernesto Breda", istniejącej od 1917 r.

KRYPTONIM „CHŁOSTRA"

W czasie 2 wojny światowej posługiwano się konspiracyjnym kryptonimem „Chłostra", za którym to kryła się właściwa nazwa Batalionów Chłopskich. Ta sama nazwę nosił również podziemny dwutygodnik, organ wojskowo-wyszkoleniowy Komendy Głównej BCh, wydawany w Warszawie w okresie sierpień 1943 — maj 1943 r. Ukazało się ogółem 29 drukowanych numerów „Chłostry" o nakładzie ok. 4000 egz.

M-10 — CZYLI GARAND

Jest to samopowtarzalny karabin konstrukcji Garanda, wprowadzony w 1939 r. (i następnie ulepszany) do uzbrojenia piechoty armii amerykańskiej. Do karabinu tego można przymocować garłacz miotający granaty karabinowe na odległość ok. 70 m. Karabiny Garand są oznaczone symbolem M-10: wyposażone dodatkowo w celownik optyczny służą strzelcom wyborowym.

(Ojrac. jed.)

historia najnowsza

O Polsce w ZSRR

SOJUSZNIK I PARTNER

(KORESPONDENCJA Z MOSKWY)

OBRAZ Polski widzianej oczyma społeczeństwa radzieckiego przeszedł długą i gruntowną ewolucję. Przy stałych kryteriach podstawowych natury ideologiczno-politycznej wyobrażenia o Polsce , podobnie jak u nas o Związku Radzieckim, kształtują się pod wpływem wielu bardzo czynników.

WSPOMNIENIE OSOBISTE

Zanim przejdę do tego, co dzisiaj mówi się w Związku Radzieckim o Polsce, trochę wspomnień z pierwszej podróży do Kraju Rad. Listopad 1957 roku. 40-lecie zwycięstwa Rewolucji Październikowej i ważna data dla obozu państw socjalistycznych i całego ruchu komunistycznego. Do Moskwy przyjechali przywódcy kilkudziesięciu bratnich partii. Ukazanie się ich na trybunie Mauzoleum Lenina wywołało gorącą owację. Najwięcej w tamte dni mówiło się o Mao Tse-tungu i Gomułce. Pierwszy stał na czele największej po KPZR partii w Azji; drugi przed rokiem objął kierownictwo największej po KPZR partii w Europie.

Przemówienie tow. Wiesława, wygłoszone na uroczystej akademii w Pałacu Sportowym, wywołało duże wrażenie; rozwiewało istniejące jeszcze wśród wielu obywateli ZSRR obawy co do kierunku październikowego zwrotu w Polsce.

Jeszcze przed zakończeniem defilady wojskowej Mao Tse-tung opuścił trybunę. W tłumie na Placu Czerwonym fakt ten komentowano chorobą chińskiego przywódcy. Tylko nieliczni wiedzieli o ostrym sporze, jaki toczył się w Sali Gieorgijewskiej, o kwestionowaniu przez Mao Tse-tunga nowej linii KPZR, popieranej zdecydowanie i gorąco między innymi właśnie przez delegację Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

W Moskwie, a potem na dalekim Altaju gości z Polski zasypywano pytaniami na temat polityki rolnej, stosunku partii do religii i kościoła, rad robotniczych, istnienia kilku partii, sklepów prywatnych i rzemiosła, pytano o nastroje wśród inteligencji i młodzieży.

PRZEZ PRYZMAT WOJNY

Ciekawość Polski była ogromna. Takich jednak, którzy widzieli nasz kraj w dziesięć z górą lat po wyzwoleniu, spotykało się niewielu. Przynajmniej w porównaniu z tym, co jest teraz, kiedy corocznie przyjeżdża do nas około 300 tysięcy radzieckich turystów.

Obraz Polski rysował się w dużej mierze w oparciu o wspomnienia z frontowych szlaków, partyzanckich bojów. W pamięci pozostały wspomnienia towarzyszy broni i widoki zniszczonych miast, spalonych wsi. Obraz ten był silniejszy od publikowanych przez prasę reportaży, informacji o nowej Polsce; przetrwał lata.

Dowodem tego mogą być i zapisy w książkach uwag na wystawie przemysłowej w Moskwie, zorganizowanej z okazji ćwierćwiecza Polski Ludowej. „Polska jest drogim mi krajem, przeszedłem z bronią w ręku od Bugu do Odry, nie zapomnę przeżytych tam dni, spotykanych ludzi. Znałem Polaków jako dzielnych żołnierzy, teraz poznałem osiągnięcia ich pokojowej pracy. I z całego serca gratuluję. Nie spodziewałem się, że po tylu zniszczeniach Polska będzie kiedyś reprezentować tak wysoki poziom przemysłu i techniki".

Wielu innych kombatantów pisze podobnie. Przez długi też czas w przekonaniu społeczeństwa radzieckiego. Polska była nie tyle partnerem we współpracy gospodarczej, co krajem, któremu trzeba pomóc, tak jak Chinom, Rumunii, Węgrom, Korei i innym jeszcze młodym państwom socjalistycznym, a także nowo powstałym państwom Azji i Afryki. Pomoc to była rozumiana, jako internacjonalistyczny obowiązek pierwszego państwa socjalistycznego. Obecnie robotnicy Uralmaszu, Leningradzkiej Elektrowni czy innych zakładów, ekspediując urządzenia dla Nowej Huty czy turbiny dla Pątnowa nie traktują wysyłki jako jednostronnej pomocy.

RZETELNA WSPÓŁPRACA

Ze statystyk za rok ubiegły wynika, że Związek Radziecki utrzymuje stałe konsulaty handlowe z 83 krajami. Pod względem wzajemnych obrotów towarowych Polska jest drugim po NRD partnerem ZSRR.

„... Podstawę radzieckiego importu z Polski stanowią obecnie gotowe wyroby przemysłowe, przede wszystkim maszyny i urządzenia. Od roku 1955 dostawy maszyn i urządzeń dla ZSRR wzrosły przeszło 5-krotnie, przedstawiając w roku 1968 wartość około 250 milionów rubli. Tak szybkie rozszerzenie eksportu w tej grupie towarów uwarunkowane było głębokimi przeobrażeniami, jakie zaszły w ekonomice Polski w okresie ubiegłych 25 lat. Ogromne znaczenie miały również duże zamówienia Związku Radzieckiego na bazie długoterminowych umów, stymulujące szybki rozwój produkcji w różnych gałęziach budowy maszyn...

Tak oto przedstawia rozwój obrotów z Polską radzieckie czasopismo „Wnieszniaja Targowla" („Handel Zagraniczny"). Wskazując na rolę umów wieloletnich z ZSRR dla rozwoju polskiej gospodarki „Wnieszniaja Targowla" podkreśla, że „dostarczone zgodnie z tymi umowami towary miały także duże znaczenie dla rozwoju poszczególnych dziedzin gospodarki narodowej Związku Radzieckiego".

Podałem typowy fragment jednego z dziesiątków artykułów o Polsce, jakie ukazują się w ostatnich czasach na łamach prasy radzieckiej.

W radzieckim przemyśle, w biurach konstrukcyjnych, w laboratoriach naukowych pracują synowie i córki obrońców Moskwy, zdobywców Berlina. Do czynnego życia zawodowego i politycznego wstąpiwali oni w okresie nowej pozycji Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej. Owszem, cenią oni wysoko wszystko, co przeżyli ojcowie, z szacunkiem odnoszą się do martyrologii narodu polskiego, ale na co dzień miarą opinii zarówno o Polsce, jak i innych krajach socjalistycznych jest to co reprezentuje dziś każdy z nich w dziedzinie gospodarczej, naukowo-technicznej i kulturalnej.

Dorobek naszego 25-lecia spotyka się z dużym uznaniem społeczeństwa radzieckiego. Obdarza ono dziś Polskę pełnym zaufaniem jako sojusznika politycznego i widzi w niej ważnego partnera we współpracy gospodarczej.

DOBROSŁAW POPRZECZKO

Kartki z Kalendarza

1755 r. 2. VIII. — Urodził się Jan Henryk Dąbrowski późniejszy generał, twórca Legionów Polskich we Włoszech (zm. 1818 r.).

1932 r. 31. VII. — Powstanie Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

1944 r. 1. VIII. — Wybuch I wojny światowej.

1920 r. 30. VII. — Powstanie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski w Białymstoku.

1941 r. 30. VII. — Podpisanie w Londynie polsko-radzieckiego układu politycznego.

31. VII. — Utworzenie we Francji pierwszych oddziałów partyzanckich — również z udziałem Polaków.

— Zamordowanie przez hitlerowców Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

1943 r. 1. VIII. — Częściowa ewakuacja Berlina i Zagłębia Ruhry na skutek bombardowań alianckich.

— 2. VIII. — Zbrojne powstanie więźniów żydowskich w obozie zagłady w Treblince.

1944 r. 26-29. VII. — Forsowanie Wisły pod Baranowem Sandomierskim i utworzenie przyczółka sandomierskiego.

— 29. VII. — 4. VIII. — Udział I Armii LP w walkach pod Pniewami i Dębinem o utworzenie przyczółków na lewym brzegu Wisły.

— 29. VII. — Lądowanie i Dywizji Pancernej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w Normandii.

— Powstanie Brygad Armii Ludowej — im. Bartosza Głowackiego i im. Ziemi Krakowskiej.

— 1. VIII. — Wybuch Powstania Warszawskiego.

LISTY i polemiki

Pierwsza defilada we Wrocławiu

W związku z Waszymi notatkami zawartymi w nr 27 „Wiadomości" z dnia 6 lipca br. w sprawie pierwszej defilady we Wrocławiu — pozwalam sobie sprostować wiele nieścisłości jakie podają osoby tam wymienione.

Nie jest prawdą, że w defiladzie brał udział 12 pułk operacyjny. Takiej jednostki nie było wówczas we Wrocławiu i w koszarach na Obornickiej stacjonowała jednostka radziecka. Taka nazwa „pułk operacyjny" nie jest znana w ogóle. Jest całkowitym błędem aby pisać, że wówczas 10 Sud. Dyw. Piech. stacjonowała w Lubaniu. W Lubaniu 10 Dyw. nigdy nie stała, a natomiast w Lubaniu była 7 Dywizja Piechoty. Ale to było również później. W pierwszej defiladzie we Wrocławiu brały udział tylko jednostki 10 Sudeck. Dywizji Piechoty. Inne oddziały nie mogły brać udziału ponieważ nie można było wcielać tylko na czas defilady innych formacji, nie należących organizacyjnie do Dywizji. Tylko w czasie bitwy, na rozkaz wyższego dowództwa, samodzielne jednostki mogły dostawać wsparcie bojowe innych jednostek.

W defiladzie tej brałem udział. Próbną defiladę, do tej głównej, odbywaliśmy w pobliżu Sztabu Dywizji na Grabiszynku, gdzie mieścił się sztab. Było to na ulicy równoległej do ul. Żeglarskiej — w tej chwili nie pamiętam jak nazywa się ta ulica, na rogu al. Przodowników Pracy, gdzie jest skiep masarski. Byłem również na odprawie organizacyjnej do defilady u Dowódcy Dywizji, płk. Struca i nie było żadnej wzmianki tam o innych oddziałach. Podstawą było, aby w defiladzie brały udział delegacje ze wszystkich poddoździałów Dywizji, które były w boju. Na marginesie tego pragnę dodać, że Wrocław powinien jakoś usymbolizować, że 10 Sudecka Dywizja Piechoty była pierwszą formacją wojskową polską, która po setkach lat wkroczyła do Wrocławia w r. 1945 — że odbyła tu defiladę jeszcze w płonącym mieście — że od tego czasu przez wiele lat Dywizja ochraniała granice naszego województwa — że w wielu miastach naszego województwa stały pułki i samodzielne jednostki i utrzymywały ład i porządek — że całe połacie ziemi były uprawiane przez żołnierzy Dywizji i zbierano z nich zboże, gdyż dopiero później przybyli osadnicy, a ci nadal korzystali z pomocy i sprzętu Dywizji przy uprawie. W samym Wrocławiu zawsze stał 1 pułk aż do roku 1950 na Karłowicach.

Niestety, nie zdobyto się dotąd, aby pamięć tamtych dni — uwiecznić. Warto byłoby w centrum miasta wystawić pamiątkowy obelisk lub w inny sposób uczcić bohaterską Dywizję. Wspaniałą Dywizję, która tak blisko związana jest z Wrocławiem i tyle dla niego uczyniła. Niestety, zapomniano o tym. Przyszli inni, nowi ludzie, którzy nie wiedzą, jak było w przeszłości. Nie ma w mieście ani śladu, ani wzmianki o niej. Jaka szkoda.

LUCJAN GRZYB, adwokat
b. kronikarz i prokurator Dywizji od chwili jej sformowania w r. 1944

Zgorzelec, ul. Szymanowskiego 2

21 listopada 1967 roku Sejm uchwalił nową ustawę o powszechnym obowiązku obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Ustawa ta, jak wiadomo, w porównaniu z obowiązującą poprzednio, wniosła wiele nowych, ważnych postanowień.

Do czasu wejścia w życie nowej ustawy obowiązywały przepisy poprzedniej, z dnia 30 stycznia 1959 roku „o powszechnym obowiązku wojskowym". Już samą nazwa dawnej ustawy sugeruje, że dotyczyła ona głównie odbywania przez obywateli służby wojskowej skoszarowanej, co odpowiadało ówczesnemu okresowi. Jednak to, co było dobre i wystarczające poprzednio, wymagało zmian, stosownie do naszych aktualnych potrzeb i możliwości w zakresie obronności kraju, z równoczesnym uwzględnieniem planowego działania obronnego na przyszłość. Miejsce Polski w Europie i w świecie, układ sił politycznych i militarnych, istnienie wielu punktów zapalnych, odradzanie się militaryzmu zachodnioniemieckiego przy poparciu amerykańskiego imperializmu — wszystkie te elementy razem wzięte stwarzają potrzebę właściwego widzenia spraw obronności. Nikomu nie może być obojętne bezpieczeństwo kraju, a zatem — własne dobro wszystkich i każdego z nas z osobna. Druga wojna światowa dowiodła, że wraz z rozwojem techniki wojennej, działania bojowe stają się powszechne, totalne. Walczyły przeciw sobie nie tylko zbrojne obu stron, ale właściwie całe narody, które zostały wprzęgnięte w zakres świadczeń na rzecz sił zbrojnych, z którymi dzieliły wszystkie niebezpieczeństwa wojny. Wojna w Wietnamie jest także szczególnie wymownym przykładem pełnego i heroicznego zaangażowania całego narodu w nieustępliwą walkę z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem. W Wietnamie zaciera się podział na walczących żołnierzy i resztę społeczeństwa: walczą wszyscy, każdy — według własnych możliwości i zgodnie ze zleconymi mu zadaniami.

Czas idzie naprzód, a wraz z nim — niestety, zwiększa się zasięg i siła rażenia zarówno broni klasycznych, jak i termojądrowych. Równolegle nasilają się wprawdzie dążenia narodów obozu socjalizmu do ograniczenia wyścigu zbrojeń, do zmniejszenia niebezpieczeństwa konfliktów zbrojnych. Ale — co zajdzie w przyszłości, trudno przewidzieć, tyle bowiem istnieje na świecie trudnych, skomplikowanych i konfliktowych sytuacji. I dlatego konieczne jest odpowiednie zabezpieczanie naszej obronności, dziś — pełniejsze, niż wczoraj, jutro — pełniejsze, niż dziś. Dlatego też nowa ustawa podkreśla zasadę powszechności obowiązku obrony PRL.

Zgodnie z literą ustawy obowiązkowi obrony podlegają wszyscy obywatele zdolni do tego zarówno z uwagi na wiek jak i stan zdrowia. Obowiązek ten może być spełniany rozmaicie, a więc — w ramach służby wojskowej, służby w oddziałach samoobrony, służbie w zmilitaryzowanych dziedzinach życia, przez uczestnictwo w powszechnej samoobronie ludności oraz drogą wykonywania zadań osobistych i rzeczowych na rzecz obrony kraju. Służba wojskowa obejmuje mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat (chorążowie i oficerowie — do 60 lat) oraz kobiety o kwalifikacjach przydatnych do służby, w wieku od 18 do 40 lat (posiadające stopień chorążych i oficerskie — do 50 lat). Nie jest to jednak równoznaczne z obowiązkiem odbywania przez kobiety zasadniczej służby wojskowej, od której są one zwolnione.

Obowiązkowi służby w formacjach samoobrony podlegają mężczyźni i kobiety nie przeznaczeni do służby wojskowej, w wieku od 18 do 60 lat życia. Obowiązek służby w dziedzinach zmilitaryzowanych obejmuje osoby zatrudnione w tych dziedzinach (mężczyźni do 65, kobiety — do 60 lat), równocześnie zaś nie przeznaczone ani do służby wojskowej, ani w formacjach samoobrony. Ustawa przewiduje także obowiązek szkolenia i ćwiczeń w zakresie powszechnej samoobrony przez środkami masowego rażenia, w odniesieniu do całego społeczeństwa; obowiązek przysposobienia obronnego obejmujący młodzież oraz wspomniany już obowiązek świadczeń osobistych obywateli na rzecz obrony kraju.

Ustawa składa się z ośmiu rozdziałów i 213 artykułów, określających zasady spełniania wyżej wymienionych form obowiązku obrony kraju oraz precyzuje wykonujące z niej zadania dla organów administracji państwowej, organów terenowej władzy, dla rejonu Obrony Narodowej i podległych mu dowództw, sztabów itd., dla zakładów pracy i wszystkich ogniw, związanych z działalnością na rzecz obrony. Trzeba tu podkreślić, że ustawa kodyfikuje kompleksowo wszystkie sprawy obronności, dając podstawę prawną wszelkim formom niezbędnego działania zarówno w czasie pokoju jak i „w razie wprowadzenia stanu bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa państwa, ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny". To wyraźne zróżnicowanie form stanu zagrożenia jest w pełni uzasadnione i odpowiadające potrzebom obronności kraju nie tylko w czasie wojny, ale także w okresie, kiedy takie zagrożenie może zaistnieć w naszym jakże niespokojnym świecie, nakazując zastosowanie w naszym kraju środków niezbędnych dla zapewnienia właściwej obrony. I właśnie w tym kontekście należy pojmować np. wspomniany wyżej obowiązek służby w oddziałach samoobrony, służby w zmilitaryzowanych dziedzinach życia, powszechnej samoobrony i świadczeń osobistych i rzeczowych obywateli. Jak wiadomo, aktualnie realizuje się obowiązek odbywania zasadniczej służby wojskowej mężczyzn, obowiązanych do jej odbycia, w służbie czynnej pozostaje kadra zawodowa, ma miejsce szkolenie wojskowe studentów i studentek oraz przysposobienie obronne młodzieży. Inne natomiast, wymienione wyżej formy udziału społeczeństwa w rozmaitych świadczeniach na rzecz powszechnej obronności, są egzekwowane tylko w takich rozmiarach, aby stworzyć warunki do ich powszechnego zastosowania na wypadek wspomnianego stanu zagrożenia. Ustawa przewiduje jednak takie sytuacje, kiedy będzie się dokonywało — w ramach koniecznych prób i ćwiczeń — swego rodzaju praktycznego sprawdzianu. Dotyczy to np. posiadaczy pojazdów mechanicznych, przewidzianych ustawą do przekazania — w razie stanu zagrożenia — na rzecz sił zbrojnych. Mogą być ponowzwani — tytułem próby sprawności — do dostarczenia posiadanych przez siebie środków transportu w oznaczonym miejscu i terminie. Ustawa stanowi, że np. ludność może być zobowiązana do zaopatrzenia się w środki konieczne dla ochrony indywidualnej na wypadek zagrożenia środkami masowego rażenia, a także — może być zobowiązana do przygotowania ochrony domu, mieszkania, mienia, źródeł wody przed zakażeniem, konserwacji pomieszczeń ochronnych, itd. Ustawa uprawnia odpowiednie władze do zarządzenia w ramach przygotowania ludności do powszechnej samoobrony — ćwiczeń praktycznych z udziałem ogółu lub części ludności określonego rejonu. Warto więc o tym wiedzieć, aby — jeśli takie ćwiczenia będą miały miejsce — nie być zaskoczonym wydanymi zarządzeniami, nakazami, zakazami itp., przysługuje bowiem właściwym władzom administracyjnym i wojskowym prawo do ich wydawania i egzekwowania — właśnie na mocy ustawy.

Zgodnie z art. 32 pkt. 10 Konstytucji PRL, Rada Ministrów jest naczelnym organem władzy państwowej w sensie ogólnego kierowania sprawami obronności kraju. Ustawa w związku z tym stanowi o utworzeniu Komitetu Obrony Kraju, jako organu Rady Ministrów do wykonywania wszystkich zadań, związanych z kierowaniem dziedziną obronności. Komitet Obrony Kraju jest organem kolegialnym, na czele którego jako przewodniczący, stoi prezes Rady Ministrów. Jego zastępcą jest minister Obrony Narodowej. Resztę składu Komitetu powołuje Rada Ministrów. Ustawa precyzuje bliżej kompetencje Komitetu oraz wszystkich instancji i organów podległych mu w realizacji zadań na rzecz obrony kraju.

PODSTAWOWĄ cechą ustawy z 1967 roku jest to, że wprowadzając powszechność obowiązku obrony kraju — integruje całe społeczeństwo, składa ten najwyższy, patriotyczny obowiązek na barki wszystkich obywateli, stosownie do ich możliwości i kwalifikacji.

Rzecz jasna, omówienie wszystkich aspektów ustawy o powszechnym obowiązku obrony kraju, choćby — ważniejszych, nie jest w jednym artykule możliwe. Nie było też celem tego artykułu: ustawy mają to do siebie, że w zwięzły, prawniczy sposób ujmują często treść bardzo bogatą, której skomentowanie może mieć rozmiary książki, i to — nie jednej. Omawiana ustawa, i chyba szczególnie ta ustawa, dotycząca tak ważnej dziedziny, nie jest wyjątkiem. Toteż najlepszym sposobem zmaksimalizowania pełnej odpowiedzi na wszystkie pytania, które mogą Czytelników zainteresować, jest sięgnięcie po tekst ustawy. Udostępniło go Wydawnictwo MON, w książeczce, wydrukowanej w sporym nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy, będącej do nabycia w przystępnej dla każdego cenie 4 złotych, w każdej księgarni. Książeczka ta zawiera także notę wprowadzającą od wydawcy oraz zwięzły komentarz pióra mgra Edmunda Boratyńskiego. Jest to lektura na pewno bardzo pożyteczna, a nawet — obowiązkowa, dla każdego, kto sprawy obronności traktuje - należną im powagą i zrozumieniem.

Wszyscy jesteśmy żołnierzami

Jerzy Drużycki

— Uznanie PKWN przez rząd radziecki.
— Reorganizacja sił sprzymierzonych na froncie zachodnim. Utworzenie 12 Grupy Armii.
— Wyzwolenie Kowna przez wojska 3 Frontu Białoruskiego.
1945 r. 28. VII. — Odrzucenie przez Japonię ultimatum sprzymierzonych w sprawie kapitulacji.
28. VII. — Pod Niemodlinem (woj. opolskie) odkryto masowe groby blisko 80 tys. zamordowanych przez hitlerowców jeńców wojennych — żołnierzy polskich powstańców z Warszawy i żołnierzy radzieckich.
1252 r. 3. VIII. — Zakład Technologii Rolnej Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu wyprodukował po raz pierwszy w Polsce witaminę B-12.
1953 r. 27. VII. — Na zaproszenie rządu polskiego przybyła do Polski grupa sierot po poległych żołnierzach koreańskich — część tych dzieci przebywała następnie przez dłuższy czas w specjalnym ośrodku na Dolnym Śląsku, w Piekowicach pod Lwówkiem Śląskim. Owczesny kierownik ośrodka, Józef Borowicz, w dowód uznania za zasługi położone na rzecz opieki nad dziećmi, został w 1957 r. odznaczony najwyższym koreańskim odznaczeniem — Orderem Sztandaru Państwowego Ludowej Korei.
1954 r. VII. — Zmarł w Zakopanem Kornej Makuszyński, wybitny pisarz, autor, m. in. wielu książek dla młodzieży.
1954 r. 2. VIII. — Rzeszów obchodził 600-lecie istnienia.
1955 r. 31. VII. — W Warszawie rozpoczął się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń, z udziałem 30 tysięcy młodzieży reprezentującej 131 krajów.
1959 r. 2. VIII. — We wsi Zamarte, pow. Chrzanów, przekazano do użytku młodzieży pierwszą wiejską szkołę zbudowaną z funduszów społecznych zebranych w ramach akcji „1000 szkół na Tysiąclecie".
1960 r. 31. VII. — We Frombork zainaugurowano uroczystości 650-lecia miasta.
1961 r. 31. VII. — Ludność Polski osiągnęła 30 mln osób.
1962 r. 1. VIII. — Zmarł Igor Krzyżanowski, członek KC PZPR i członek Rady Państwa, wybitny pisarz i dramaturg polski.

(OPRAC. J. D.)

Lubelskie dni lipcowe. Fot. Michał Trachman

Prawdziwe oblicze BUNDESWEHRY

Zenon Frąckowiak

„... wśród składających życzenia nie zabrakło pułkownika Bundeswehry, Waltera Koppa, którego wyrazy szacunku dla Jubilata spotkały się z wielkim uznaniem... Orkiestra grała potem długo marsze i pieśni wojskowe przywołując we wspomnieniach kolegów minione czasy wspólnych akcji i życiowych prób. Tymczasem Jubilat witał się z poszczególnymi uczestnikami spotkania, dzieląc się raz po raz wspomnieniami z lat, których żaden z kolegów nie żałuje..." — czytamy w artykule opublikowanym na łamach zachodnioniemieckiego czasopisma „Der Freiwillige" w kwietniu br.

Opisana uroczystość odbywała się z okazji 75 rocznicy urodzin byłego dowódcy II korpusu pancernego SS, generała Wilhelma Bittricha. Tego rodzaju imprezy, symbolizujące więź pokoleń w służbie niemieckiego militaryzmu odbywają się na zasadzie od daty systematycznie. Są jak kamyki w mozaice, przedstawiającej narodnalistyczne oblicze bońskiej republiki i jej Bundeswehry.

„Żadna armia nie musi wstydzić się swoich tradycji mniej, niż niemiecka... Dwanaście lat narodowego socjalizmu niczego w tym względzie nie zmieniły... Nie ma powodów, dla których Bundeswehra miałaby odcinać się od tradycji poprzedników..." — pisze von Studnitz w niedawno wydanej w NRF książce pt. „Ratujcie Bundeswehrę". Niepotrzebnie użył przy tym tak dramatycznego tytułu, bowiem zalecane w książce metody działania są w Bundeswehrze od dawna stosowane. Armia NRF chroni pieczołowicie wszystkie, a przede wszystkim pochodzące z czasów hitlerowskich, tradycje niemieckiego militaryzmu. Świadczą o tym nadawane koszarom i okrętom wojennym imiona hitlerowskich „bohaterów" takich, jak: znany z dokonywanych zbrodni wojennych dowódca U-boatu — Lütjens, głównodowodzący ekspedycyjnym Afrika-Korps — feldmarszałek Rommel, czy pirat powietrzny, pupilek Goeringa — Bälders. Dowodzą tego publikowane na łamach „Information für die Truppe", „Wehrausbildung in Wort und Bild" i innych czasopism Bundeswehry artykuły, sławiące „świetlane przykłady żołnierskiego bohaterstwa", zaczerpnięte z dziejów Wehrmachtu i Waffen SS. Charakterystyczne przy tym jest, że przedstawia się tam z reguły epizody z walk przeciwko Polsce i Związkowi Radzieckiemu i to wyłącznie takie, w których faszyści odnosili sukcesy. Motywem podobnych artykułów, wspomnień i reportaży jest hasło: „Żołnierze Wehrmachtu zawsze górowali nad wrogiem!".

Propagandzistom z Bundeswehry chodzi jednak nie tyle o gloryfikację przeszłości niemieckiego militaryzmu, ile o zaszczepienie aktualnym podwładnym uczucia absolutnej przewagi nad nominalnym przeciwnikiem. W dążeniu do tego celu kadra Bundeswehry stosuje niewybrzednie metody, nie cofając się przed głoszeniem bredni i wymyślanych informacji o wielkim wyszkoleniu, wyposażenia i innych czynnikach, stanowiących o sile bojowej armii Układu Warszawskiego. I tak żołnierzom 4 brygady pancernej w Göttingen klarowano, że ewentualna napaść na NRD nie byłaby większym ryzykiem, gdyż Narodowa Armia NRD dysponuje nikłą ilością amunicji i przestarzałą bronią, a demonstrowany przez nią na defiladach nowoczesny sprzęt bojowy został tylko w tym celu wypożyczony od Armii Radzieckiej.

Czy w tej sytuacji można się dziwić, że produkt podobnego wychowania, szeregowiec Bundeswehry, Ernst Hucke pozwala sobie na następujące stwierdzenie: „Wierzę mocno i żyję w tym przekonaniu, że nadejdzie czas, kiedy odkurzymy sztandary zdobne w swastyki!".

Motywy, którymi przywódcy Bundeswehry kierują się przy szerzeniu idei nacjonalizmu, są oczywiste. Wiadoma też, dlaczego akurat teraz przywiązują tak dużą wagę do wychowywania podwładnych w duchu butnego nacjonalizmu. Antykomunizm i nacjonalizm, to dwa główne i nieodłączne elementy z politycznego arsenału niemieckiego militaryzmu. Po klęsce, poniesionej w 2 wojnie światowej, sięgnęli najpierw tylko po oręż antykomunizmu, chcąc przypodobać się siłom imperializmu, zyskać ich zaufanie i zasłużyć na miano wiernego partnera. Teraz zaś, gdy już osiągnęli wstępnie zamierzony cel i poczuli się dostatecznie silni do spełnienia roli „europejskiego przedmurza" imperializmu, nie wahają się przed stosowaniem drugiego oręża propagandowego, którym jest „wielkoniemiecki" nacjonalizm.

Bońska generalicja wyciągnęła wnioski z przeszłości i wie, że we współczesnej wojnie żadnej armii nie wystarczy wymuszone drytem, ślepe posłuszeństwo żołnierzy. Stąd wysiłki zmierzające do oparcia posłuszeństwa Bundeswehry na bazie ideologicznej, odpowiadającej agresywnym tendencjom niemieckiego imperializmu. Przekonano się przy tym, że sam antykomunizm nie wystarcza, gdyż z jego pomocą osiągano wyłącznie uczucia obnegacji. Brakowało dopingu do wyzwolenia postaw zaangażowanych, porywających żołnierzy do działania w myśl rozkazów, które nie uczą bronić się, ale atakować. W tym celu propagandę antykomunistyczną uzupełnia się coraz bardziej jadem nacjonalizmu, mającego Bundeswehrze wskazywać cel działania. Celem tym mają być „życiowe interesy" narodu niemieckiego, na których czele stawia się w NRF przezwyciężenie skutków 2 wojny światowej w postaci Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jako suwerennego państwa oraz granicy wytyczonej wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej. W imię takich interesów, przedstawianych uzbrojonemu Hansowi z Niemiec zachodnich, jako rzekomo nieodzownych dla przyszłości całego narodu niemieckiego, maszeruje on w uniformie Bundeswehry, coraz głośniej i buńczuczniej śpiewając „Deutschland über alles".

Na ekranach kin NRF gloryfikujące wojnę filmy, a w księgarniach sławiące hitlerowskie tradycje książki, na przykład pt.: „Waffen SS w akcji", „Kawalerowie krzyża czerwonego z Waffen SS", „Żołnierz do ostatniego dnia (Kesselringa)", „Bilans II wojny światowej. — Wnioski i rozwiązania na przyszłość", a także: „Pomorze — niezapomniana ojczyzna", „Tak walczył Breslau", „Wschodniopruska ojcowizna" itd.

Ze wspomnień oficera MO

CZTERECH DO KONFRONTACJI

Bogdan Daleszak

NA SCHODACH dopinał płaszcz, kończył bułkę z jakąś wędliną, która być może musi wystarczyć do wieczora i klął. Klął, że tak rano, że wczoraj dał się nabrać na taką ilość modnego ostatnio „Manderyna", a przecież tłumaczył, że likier to nie „zata z mamą", klął swoje niedbalstwo, w wyniku którego ciągle jeszcze mieszkał w Komendzie na Witolda i zawsze był pod ręką. Jedyna pociecha, że dzieciom nic stać się nie może, bo bawią się na podwórku z milicyjnymi psami...

PODWÓJNE MORDERSTWO

„Doczka" skoczyła do przodu. Zazwyczaj porucznik był z niej dumny. To była naprawdę piękna maszyna, bo dotąd to aż wstyd – mieli parę rowerów i rozklekotaną „Dekawkę", a to jak na Komendę takiego miasta jak Wrocław trochę za mało. „Doczka" na upartego i piętnastu potrafiła zabrać. Teraz jednak porucznik skrzywił się, że to otwarty wóz, bo pogoda była typowo wrocławska – druga połowa listopada, a tu ani jesień, ani zima, szaro, parszywie. Ulice, jeszcze parę miesięcy temu gwarne, pełne wystawowych gości, teraz robiły wrażenie opustoszałych. Porucznik przypomniał sobie na Ciężynie, że żona mówiła coś o spółdzielni mieszkaniowej, która właśnie tu remontowała pierwsze bloki, ale już była Opolska. Nie musieli nawet szukać numeru 95, bo przed dużą kamienicą z daleka zauważyli tłum gapiów.

Do Karpusiewiczów wchodziło się od tyłu po schodach. Drzwi były otwarte. Z przedpokoju na wprost uchylone przeszklone drzwi, na prawo drzwi do kuchni, na lewo do pokoju. Usunęli gapiów, zaczęli szczegółowe oględziny. W pokoju pod oknem żona ogrodnika przykryta kapą. Nie miała jeszcze 30, ładna kobieta. Najpotworniejsze było to, że uduszona była w 9 miesiącu ciąży. Duża, otwarta szafa była wyraźnie splądrowana. Na półkach i na podłodze poniewierały się banderole z Banku Rolnego z datą pobrania ponad miliona złotych. Pieniądze zniknęły. Tuż przy drzwiach w łóżeczku spało dwuletnie dziecko. Kuchnia nie była ciekawa, ale ciekawe było pomieszczenie za oszklonymi drzwiami, to na wprost wejścia.

Na samym środku ogromna sterta owsa, na ścianach uprząż, jakieś stare ubrania, narzędzia ogrodnicze. Tu zostali zaplakanego i trzęsącego się ze strachu „parobka". Chłopisko mimo 22 lat i potężnych barów było mocno niedorozwinięte, ale do pomocy w ogrodzie się nadawało. Ponieważ chłopak był całą noc w domu, dla sąsiadek było jasne, że to ten „przygłup", albo UB, co w nocy ogrodnika zabrało...

Dla milicji chłopak okazał się koronnym świadkiem. Nie tylko był w domu ale słyszał i widział morderców. Było ich czterech. Przyszli około 23. Powiedzieli, że są z Urzędu Bezpieczeństwa i zabrali pana z sobą. Później koło północy wrócili, weszli do pani, coś tam krzyczeli. Zaglądali nawet do „magazynku", świecili latarkami, mówili że „tu nikogo nie ma" i poszli. Chłopak, który panicznie bał się, bo pan zawsze go straszył, że jak nie będzie pracował, to przyjdzie po niego UB, zakopał się jak kret w owsie. Do rana o mało się nie udusił. Chłopak był nie tylko świadkiem, ale i podejrzanym. Mógł przecież sam udusić kobietę, a pieniądze ukraść. Sprawa zaczęła się komplikować i porucznik – szef służby śledczej – dawno zapomniał o porannym nastroju. Jak już wgryzł się w „sprawę", mógł 3 dni nie spać i był świeży i sprawny jak „vis", z którym się nigdy nie rozstawał.

Był już po południu, kiedy z ogródków działkowych przy Chorzowskiej przybiegli chłopcy alarmując, że tam leży zabity pan Karpusiewicz. Mężczyzna leżał na wznak, w prawym ręku miał pistolet „Parabellum", na piersiach duży kawał płyty otynkowanej i leżał: „Zabiłem żonę i popełniłem samobójstwo". Funkcjonariusze z miejsca jednak wykluczyli samobójstwo – u leżącego zwłok, a przede wszystkim kierunek wlotu pocisku świadczył o morderstwie.

FAŁSZYWE ALIBI

Nawet ekspertyza kartki znalezionej przy ogrodniku, (a okazało się, że napisał ją zmarły) nie zachwiała pewności funkcjonariuszy, że to nie było samobójstwo, że „parobek" nie jest sprawcą zabójstwa, że jacyś zbrodniarze podszyli się pod Urząd Bezpieczeństwa. W czasie gromadzenia materiału śledczego odnaleźli kolejarza, który widział czterech mężczyzn pod domem Karpusiewiczów i konduktorkę, która na ostatnim kursie zapamiętała 4 pasażerów, którzy wysiedli na przedostatnim przystanku. Tuż przy „Opolance". Funkcjonariusze trafili i tam. Zeznania właściciela knajpy były rewelacyjne. Byli tu tacy, siedzieli przy tym stoliku pod oknem. Pili wódkę. Po godzinie chyba wyszli, zabierając dwie butelki ze sobą. Dwóch z nich znał, dwóch pozostałych nie.

Zatrzymanie wszystkich czterech było proste. W Komendzie doszło do konfrontacji. Przy wszystkich kombinacjach „parobek" rozpoznał wszystkich, jednak porucznik kolejarz i właściciel restauracji. Restaurator miał co prawda wątpliwości co do jednego, ale przecież byli tak charakterystyczni – raj, młodszy, syn właściciela sklepu, wysoki, dobrze ubrany, uczesanie a la Chmielewski (sławny przedwojenny bokser, łodzianin), z przedziałkiem pośrodku, początki łysiny; drugi był mały, czarny, w jasnym płaszczu popielnowym; trzeci, najwyższy, był w czapce studenckiej brązowego koloru. Najciekawszy był czwarty, prawowity Urzędu Skarbowego. Został bez wątpliwości rozpoznany przez restauratora, a na dodatek miał kiedyś broń o kalibrze „parabellum" znalezionej przy zabitym. Twierdził, że rok wcześniej pistolet zgubił i tak jakoś zapomniał zameldować o tym. Ponieważ na dodatek podawane przez wszystkich alibi okazało się fałszywe (żony stwierdziły, że nie nocowali w domu), fakt nieodnalezienia łupu 1 to że oskarżeni uparcie odmawiali przyznania się do winy nie miało już większego znaczenia. Prokurator przejął całą sprawę i zaczął przygotowania do sporządzenia aktu oskarżenia.

NAPAD NA OPOROWIE

Mniej więcej w połowie grudnia postanowiono znów zasadzkę na Oporowie, bo mnożyły się meldunki, że uzbrojeni bandyci zatrzymują późnym wieczorem samotnych przechodniów, odbierają pieniądze i kosztowności, po czym dokładnie legitymują, spisują adresy i grożą, że w razie zawiadomienia MO na głupim portfelu się nie skończy... Wybraliśmy się z jedenastu, z trzema psami. Grabiszyńska między cmentarzami, a tam było najwięcej napadów, była bardzo trudna do obstawienia. Wystarczy przecież w dowolnym miejscu przesadzić cmentarny mur i... szukaj wiatru w polu. Nie wiedzieli także ilu było bandytów, a na dodatek nie było w tych czasach sprzynego sprzętu – zamiast krókotałówek gwizdało się lub „kukała", a nocą w tak trudnym terenie przy odległościach większych niż 50 m mogli przestępcom rzeczywiście tylko „naukukać"...

Porucznik rozlokował ludzi i psy tuż po 22 na przestrzeni od cmentarzy do mostku. Przy samym mostku nie było nikogo, bo teren był całkiem odkryty. Postanowili, że dopiero gdzieś po 23 na jeździę wyjdzie „na wabia" jeden z funkcjonariuszy, Śmieszek. Śmieszek był odpowiednio przygotowany. Porucznik spośród rzeszy odebranych szabrownikom wybrał najokazalsze futro i postanowił, że jeden z funkcjonariuszy przebierze się „na wabia". Było trochę kłopotu, bo nikt nie miał dostatecznej tuszy i na wszystkich futro wyraźnie podejrzanie wisiało, ale w końcu spośród ochotników wybrano Śmieszka. Trzeba go było jednak uzupełnić znacznych rozmiarów jąkłem, bo i Śmieszek nie miał brzuszka.

Tuż po 23 na szosę wyszedł Śmieszek Bali się o niego jak diabeł, bo Śmieszek miał wprawdzie pistolet ale w futrze i z poduszką był trochę niemrawy. Zaczął spacerować od cmentarzy do mostku i z powrotem. Mijali go pojedynczy przechodnie, ale nic się nie działo. Po godzinie zaczął dokuczać chłód. W końcu to przecież połowa grudnia. Śniegu nie było, ale wiatr nie próżnował, a ludzie byli dość różnie ubrani. Wyraźnie marzły i denerwowały się także psy. Zwłaszcza Atom, najlepszy, najostrzejszy z wrocławskich psów, który równie dobrze rodził sobie na miękkim jak i na twardym gruncie, wyraźnie niecierpliwił się. Minęła północ. Ludzie w rowie bali się o kolegę na szosie, ale trochę mu zazdrościli – dość że miał futro, to jeszcze poruszał się swobodnie. Później zwierzał się, że było mu stanowczo za gorąco...

W pewnym momencie, gdzieś koło 1, przy Śmieszku znalazło się dwóch mężczyzn z dobytymi pistoletami, a w parę chwil później i ich i Śmieszka otoczyli funkcjonariusze z zasadzki. Porucznik, który od miejsca zatrzymania był dość daleko, biegnąc słyszał jakieś śmiechy, nowoływania. Kiedy podbiegł i funkcjonariusze mówili mężczyźni klepali się po ramionach i zanosili śmiechem. Okazało się, że Urząd Bezpieczeństwa również postanowił zrobić zasadzkę na bandytów. Całe nieporozumienie polegało na tym, że nie zawiadomiono MO. Porucznik najpierw był wściekły, a później zaczął się śmiać razem ze wszystkimi...

STRZAŁY W MELINIE

Nikt natomiast nie śmiał się następnego dnia, kiedy okazało się, że UB o żadnej zasadzce nie słyszał. Zaczęto kojarzyć fakty. Jeden z bandytów, bo teraz już nikt nie miał wątpliwości, kto to był, miał studencką czapkę brązowego koloru. Wprawdzie na Opolskiej było 4 bandytów, tu 2, ale z informacji uzyskanych od napadniętych wynikało, że napastnicy na Oporowie wymieniali się. Na szczęście nie były to informacje jedyne. Ktoś usłyszał, gdzie rabusie wybierali się na wódkę, ktoś inny wymienił imię (lub pseudonim) jednego z bandytów. Zaczęto szukać. Wprawdzie należało wątpić, aby bandyci, którzy zagarnęli milion złotych zajmowali się takimi drobnymi napadami, ale choćby to podawanie się za funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa... Dla wszystkich było jasne, że na Oporowie nie uda się już żadna zasadzka, napady zresztą ustały jak nożem uciął i że trzeba prowadzić normalne dochodzenie.

W kilka dni po niesławnej zasadzce na Oporowie porucznik „dostał cynk", że u jednego z paserów będzie wielkie picie, że będą ciekawi dla milicji ludzie. Porucznik postanowił nie tracić okazji i zebrawszy kilkunastu ludzi (podobnie jak on nie zaproszonych), udał się na libację. Otoczyli jeden z budynków na Komuny Paryskiej i udało im się niepostrzeżenie dostać na II piętro. Zaskoczenie było niecałkowite – jeden z uczestników libacji zaczął strzelać, zaczęli strzelać funkcjonariusze. Na szczęście mimo kanonady jak na kowbojskim filmie, nikt nie został nawet draśnięty, za to łup był przedni. Zatrzymano kilkanaście osób, znaleziono masę biżuterii, złota i znaczne ilości gotówki. Część gotówki miała jeszcze banderole... Banku Rolnego. Wyłowienie 4 sprawców podwójnego morderstwa na Opolskiej nie przedstawiało już żadnych trudności.

Znowu konfrontacje. Kolejarz i konduktorka byli całkiem bezradni, restaurator w ogóle nigdy nie widział tej „dużej" czwórki, a „parobek" złapał się za głowę i powtarzał „Jezus Maria, kto jest kto...". Okazało się, że sprawców widział tylko kolejarz, (ale po ciemku) i „parobek". Konduktorka i restaurator widzieli pierwszą „czwórkę", którą ciągle siedziała w więzieniu. Druga „czwórka" również jechała ostatnim tramwajem, również wysiedli na przedostatnim przystanku, ale szli osobno i do „Opolanki" nie wstępowali.

Kiedy porucznik zakończył konfrontacje, wezwał tych, którzy siedzieli ponad miesiąc i zaczął długi, głośny monolog, zaczynający się od słów „Dlaczegoście do jasnej cholery..." Okazało się, że 17 listopada 1948 r. późnym wieczorem cała czwórka postanowiła odwiedzić panie stęsknione towarzystwa. Panie miały mężów na delegacji, panowie mieli delegację w kieszeni, a żony w domu (poza jednym, który bał się tylko matki). Wypili w „Opolance" dla kurażu, kupili wódkę. Rano nikt ich wychodzących nie widział. W oskarżenie o morderstwo nie wierzyli, wiedzieli, że „jakoś się wyjdzie" i postanowili być twardzi. Załamywali się, ale strach przed żoną i rozbiciem co najmniej 5 małżeństw był silniejszy...

Prawdziwi sprawcy straszliwego mordu na Opolskiej zostali surowo ukarani...

Uprawiając swój ogródek...

MIMO ŻE chwalę sobie sytuację ogrodnika, że wypatrem ją uznaję za najlepszą z najlepszych, nie mam zupełnego spokoju. Pod tym względem moje położenie nie wyróżnia się spośród innych. Ów niedosyt łączy mnie z urzędnikiem, nauczycielem, dziennikarzem, proboszczem wiejskim. Cóż więc z tego, że mam własny dom otoczony żywopłotem, ogród i sad? Cóż z tego, że żyję poza konfliktami zaangażowanych w wielkie sprawy tego świata? Są rzeczy, wobec których moja radość niknie, śmiech przekształca się w grymas warg.

Przyczyną tego są krety, owe gryzonie niewiele większe od myszy, które w ramach mojej posesji, tuż pod ziemią, tworzą potwikland sieć korytarzy, niszczą korzenie roślin i drzew owocowych, tworzą kopce między rozkwitającymi kwiatami. One są najgorsze. Nie wyprowadzają mnie z równowagi pędraki, chrabąszcze, mszyce. Z nimi bowiem radzę sobie dosyć łatwo. Problem stanowią tylko krety.

Pewien docent, który od lat wykłada na uniwersytecie teorię poznania i entologię kretologii, prawdopodobnie nie podziela mego stosunku do tych gryzoni. „Krety są ślepe – stwierdza w jednej ze swych kompilacji – dlatego nie posiadają intuicyjnego znaczenia z punktu widzenia bytu samego w sobie, gdyż ten, z racji swych przekształceń, neguje ich esencjonalność". Dalej następuje wykład o dialektycznym stosunku między kretem jako takim a rozgałęzieniem korzeni gruszy. Ale ta część pracy może stanowić dowód postępującej sklerozy. owego uczonego. Powiadają zresztą o nim, że w miarę upływu lat przestaje zajmować się nauką i przekształca się w egzaminatora. Podobno z roku na rok tyje coraz bardziej, maleje, z oczu zostaję tylko wąskie szparki, a jego garnitur swym ubarwieniem przypomina kolor futerka... kreta. Oto do czego prowadzi akademicka rezerwa w podejściu do zagadnień, do czego w ogóle wiedzie problem kreta!

Można słusznie podejrzewać, że któregoś dnia docent ów przemieni się w to przebrzydłe stworzenie i będzie rył pod czyjąś posesją korytarze, psuł pracę wielu dni i tygodni. I nic na to nie można poradzić. Tym bardziej, że wielu ustawy krety podlegają ochronie.

Martwi mnie to nie tylko z powodu czysto egoistycznych. Wszak współczuję innym. Ale wychowany na „Kandydzie" Woltera, nie śmiem modlić się do Siły Wyższej. Nie mogę też – jak mój wielki mistrz – wznieść pomnika ku Jej czci. Ostatecznie napis: „Panu Bogu Wolter" – brzmi jakoś, a „Panu Bogu Agapit" – śmiech tylko zdrowy może wywołać.

Jest teraz pełnia lata. W ogrodzie moim mocna, bujna zieleń warzyw, krzewów porzeczek i agrestu, drzew owocowych winna cieszyć oczy i przepełniać zaufaniem do świata. Gdyby zniknęły gryzonie, które ryją tuż pod moimi stopami! Czegoż bym więcej pragnął? Nawet „Cztery pancerni i pies" dawałoby pełnię oczyszczających doznań estetycznych. Uprawiałbym z codzienną gimnastykę, chodziłbym na wieczory autorskie. Uprupowania 66, czytywałbym „Agorę". Uwierzyłbym – jeśli nie w predestynację, to przynajmniej w zadosćuczynienie poetyckiej pisarza D. Może – jak mój znajomy Ch. – dzieliłbym czas między oglądanie znaczków pocztowych, kieliszeczek i wysłuchiwanie utyskiwań żony na nierobstwo (pozorne przecież, bo ogrodu bym nie zaniedbywał). Nie wiem. Wszystko jest możliwe, gdyby uporać się było można z kretami. Ale nic z tego, bo nie ma ucieczki przed losem. Jak fatum tkwi ponad mną. Tak samo zresztą jak nad każdym. Każdy przecież ma swojego kreta, który nie daje mu spokoju.

Jednakże od jakiegoś czasu mam nadzieję, że problem rozwiążę definitywnie. Dopomógł mi w tym artykuł znanego publicysty pisma literackiego i uczonego zarazem mgr B. P. Powołując się na kompilacje wzmiankowanego wyżej docenta, jak również na prace prof. L., niezbicie wykazał, że „krety wiodą żywot kreci i należy podejść do tego problemu sposobem kreciim". Przy okazji skrytykował pięć pięćdy neopozytywistów, których sposób sprawdzania doświadczenia jest wysoce niezadowalający, gdyż ogranicza się jedynie do analizy języka, „a zatem – pisał – dotyczy tylko zagadnienia poprawnego bądź niepoprawnego wystawiania słowa „kret". W końcu artykułu, powołując się na znane autorytety podaje konkretny sposób rozwiązania problemu. Nie osłania się przy tym terminologią fachową. Mówi więc: „Wystarczy zaczekać, aż kret wysunie głowę na powierzchnię ziemi. Wtedy – rzecze – należy wsunąć mu w pyszczek dżdżownicę. Jest to bardzo proste i skuteczne. Kret zajęty spożywaniem, nie będzie miał czasu na dalsze budowanie nor i korytarzy. Tym samym również nie zajmie się rozmnażaniem. Dzięki temu uratujemy nasze ogrody przed plagą. Ponieważ zaś w jednym ogrodzie działa więcej niż jeden kret, trzeba zwołać rodzinę na pomoc. Wskazany jest przy tym podział pracy. Część rodziny poszukiwałaby robaków, inna część – karmiłaby krety. Syte gryzonie natychmiast zasypiają. Czas ich snu przeznaczyć można na gromadzenie dżdżownic, jedzenie obiadu, prace ogrodowe itp. Należy nie zapomnieć o włączeniu głośnika, z którego winna płynąć pogodna muzyka klasyczna". Tyle B. P.

Rozesłałem listy do wszystkich krewnych. Część już przybyła. Inni zapowiedzieli rychły przyjazd. Pracujemy od świtu do nocy. Rodzinka chwali sobie świeże powietrze i niezawiłe czynności. Chodzą tu i tam, oglądają śpiące gryzonie i uśmiechają się. Ale nie wiedzą, by problem był rozstrzygany. Konieczne są udoskonalenia metody B. P. Nie wiem bowiem, czy inne krety nie znęci darmowy pokarm. Wtedy zabraknie krewnych. Pozostanie konieczność zaszczycania znajomych. Dam przemienić się w bitwak. Będę musiał porzucić ogrodnictwo.

Myślę, że metoda byłaby doskonałą wówczas, gdyby każdy sam mógł uporać się z kretem, który pod nim ryje.

AGAPIT.

LISTY i polemiki

Nie chodzą po dachach...

Przeczytałem w Waszym piśmie nr 24/637 z dnia 15 czerwca 1969 r. w dziale „Listy i polemiki" artykuł: „Smutno mi Boże, Panie Redaktorze" i o dziwo! Nie doznałem żadnego „życzeniowo, bolesnego odczucia".

Wydaje mi się, że wielotysięczna armia językoznawców-apostołów jest na stopie wojennej z przeciętnie lub jednokierunkowo wykształconymi objawiałami naszego kraju i na wzór świętej inkwizycji, w walce tej stosuje chwyty, o wątpliwej czystości.

...Język literacki zmienia się w zależności od zapotrzebowania językoznawców, a gwara pozostaje bez zmian w swoim pierwotnym znaczeniu. Wyraz Maria pisało się inaczej pięćset lat temu, inaczej w 1919 roku, inaczej pisze się teraz.

Troską pana Józefa Palewskiego jest: Żebyśmy mówili i pisali po polsku „super-hyper-fenomen", a troską trzydziestu milionów Polaków – jak zmieścić w ograniczonym czasie naukę językoznawstwa, (której pan J. Palewski uczył się około trzydziestu lat, aby sprostać jego wiedzy.

Jeżeli ta święta wojna domowa znajdzie naśladowców, to po dokładnym opanowaniu mowy polskiej, będziemy musieli opanować bezbłędnie medycynę, a potem zmuszą nas teologowie, abyśmy znali ich wiedzę, tak jak to umie ojciec święty w Rzymie itd. itd.

Nauczę dziecko ze szkoły podstawowej zapyta: Panie p-sorze! Czy nasze mózgi z czaszkami, przygotowane są ewolucyjnie do przyjęcia takiego ogromu wyrazów, symboli, cyfr i pojęć, jakie się mnożą z szaloną szybkością w naszym stuleciu?

...Znawcy języka pracują całe życie w kierunku doskonalenia mowy ludzkiej i w tej wiedzy są specjalistami. Nikt im nie dorówna w tej dziedzinie, ani ja, ani kominiarz, ani inżynier, ani lekarz. Za to oni nie umieją chodzić po dachach, ani odprawiać nabożeństw, budować domów, operować ludzkie serca, wykrywać nowe ekonomiczniejsze nadprzewodniki, czy doskonalić plazmę tak, aby można było ją zastosować nad ziemskimi biegunami.

Jest mi nawet nieprzyjemnie, że środowisko... lekarzy nie atakuje środowiska językoznawców za brak umiejętności posługiwania się skalpelem.

...Wydaje mi się także, że „Wiadomości" nie są wydawane z przeznaczeniem (tylko – przypred.) dla czytelnika intelektualisty. Skoro tak, to nauka poprawnego wyrażania się w słowie i piśmie, powinna być przekazywana poprawnie, w innej formie, z umiarem. Ośmieszać można równych, słabych powinno się uczyć, ale z taktem, w innym tonie, bez kompleksów wyższości (wię słów przytemnie piszącego pana Witalisa Kowalskiego).

NARCYZ STASZEWSKI
KALISZ

Oto zdjęcie produkowanego w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu Fiat 125P, wykonane specjalnym obiektywem zwanym „rybie oko".

CAP — Fot. Grabowiszcki

ŚWIDNICA sportowe zagłębie

Czesław Kryczek

POWIAT ŚWIDNICKI uchodzi za rzadki wyjątek, nie tylko na Dolnym Śląsku. Zaliczany jest do najbardziej uprzemysłowionych powiatów w kraju, zaś rolnictwo pod względem towarowości produkcji wysunęło się na pierwsze miejsce. Uprawianie roli uchodzi tutaj za zajęcie równie atrakcyjne co praca w fabryce. Doskonale rozbudowana jest również sieć szkół średnich, w których nie istnieje tak powszechnie znane zagęszczenie. Na naukę przyjeżdża spora liczba młodzieży z innych powiatów. I wreszcie sport, stanowi on uzasadnioną dumę świdniczan.

Wielu kibiców za najbardziej usportowiony powiat Dolnego Śląska uważa Wałbrzych. Jako argumenty podaje się pobyt dwóch drużyn piłkarskich w pierwszej i drugiej ligach oraz istnienie silnych sekcji: lekkoatletycznej i ciężarowej. Spory dorobek. Chciałoby się rzec — gdyby każde miasto powiatowe posiadało tak rozwinięty sport, o wiele więcej mielibyśmy mistrzów olimpijskich.

Ale pomimo wysokiej pozycji Wałbrzycha wyżej sklasyfikowałbym Świdnicę. Dlaczego? Bo miarą niekłamanej pozycji sportu są dwa czynniki: masowość i sukcesy na arenie międzynarodowej. Świdnicy sportowcy mają w tej dziedzinie większe osiągnięcia od swych sąsiadów.

Jak bardzo popularny jest sport w najszerszych kręgach świdnickiej młodzieży można przekonać się na każdym kroku. Pierwszą spotkaną po moim przyjeździe do Świdnicy osobą jest uczennica II Liceum Ogólnokształcącego, Grażyna Krupińska. Na pytanie jaki jest jej związek ze sportem, odpowiada: — Jestem kibicem pierwszoligowej drużyny siatkarek „Polonii", sama również uprawiam pływanie i gram w koszykówkę. W naszym liceum, trudno nie zetknąć się ze sportem, gdyż każdego roku do eliminacji przed igrzyskami szkolnymi każda klasa ma obowiązek wystawić drużynę w wybranej dyscyplinie. Ja startowałam w zespole koszykarskim.

W okresie igrzysk olimpijskich w Meksyku na jaw wyszła zasadnicza słabość wielu dyscyplin, mianowicie brak szerokiego zaplecza. Po raz pierwszy ludzie odpowiedzialni za sport przyznali, iż bez solidnej pracy z młodzieżą nie doczekamy się wyczynu na światowym poziomie. Jednym ze środków zasadniczych mają być pierwsze centralne igrzyska młodzieży we Wrocławiu. Inicjatywa ze wszech miar słuszna, chociaż nieco spóźniona. W Świdnicy igrzyska młodzieży pracującej trwają już od dziesięciu lat. Patronem jest Zarząd Powiatowy Związku Młodzieży Socjalistycznej. Można stwierdzić, że świdnicki ZMS o dziesięć lat wyprzedził uchwałę swej centralnej instancji w kwestii rozwoju sportu. Natomiast szkolne igrzyska powiatowe organizowane są od czterech lat.

Każdego roku imprezę powiatową poprzedzają wielomiesięczne eliminacje. Uczestniczą wszystkie klasy. Kto spośród uczniów nie mieści się lub z innych powodów nie może startować w drużynie gimnastycznej, lekkoatletycznej czy bardzo popularnych dyscyplinach piłkarskich: siatkowej, koszykowej i piłki ręcznej, ten pomaga organizatorom albo bierze udział w konkursie na plakat propagujący igrzyska. Najważniejsze, aby zmaganiem kolegów na boiskach zainteresować jak najwięcej uczniów.

Igrzyska takie mają piękną oprawę, wszystko przypomina olimpijską atmosferę, a więc są flagi, defilada, jest prezentacja zawodników, wręczenie medali na podium zwycięzców itp.

Upowszechnienie kultury fizycznej w szkołach byłoby niemożliwe bez sojuszników. Są nimi nauczyciele oraz dyrektorzy liceów i techników. Minęły czasy, kiedy sport spełniał rolę kopciuszka w życiu szkoły. Mgr Tadeusz Sajan, sekretarz propagandy KP PZPR wspomina okres, kiedy sam był uczniem jednej z miejscowych szkół. Uprawianie sportu nie należało wtedy do dobrego tonu. Przynależność ucznia do klubu sportowego trzeba było utrzymywać w tajemnicy. Dziś sport zdobył sobie prawo obywatelstwa i traktowany jest jako ważny element wychowawczy. Dyrektorzy szkół średnich chętnie przyjmują do pierwszych klas tych absolwentów szkół podstawowych, którzy mają za sobą sukcesy sportowe. Idzie nie tylko o zapewnienie wysokiej lokaty w rywalizacji szkół na igrzyskach, ale przede wszystkim o wysoki poziom nauczania. Wieloletnie obserwacje pedagogów potwierdziły współzależność rezultatów w nauce z sukcesami osiąganymi na boisku.

A wreszcie sprawa sportu kwalifikowanego. Żaden z powiatów nie licząc rzecz prosta miasta Wrocławia, nie może poszczycić się medalistą olimpijskim. Brąz z Meksyku przywiozła do Świdnicy Halina Aszkiełowicz, członkini trzeciej drużyny siatkowej igrzysk!

Siatka jest chlubą miasta. Posiadanie pierwszoligowego zespołu i wprowadzenie przez trenera mgra Tadeusza Ząbka kilku zawodniczek do kadry juniorek — to naprawdę wielki wyczyn. O piłce świdnickiej znowu w kraju głośno, podobnie jak zaraz po wojnie, kiedy drużyna piłki nożnej walczyła jak równy z równym z czołowymi zespołami kraju, Polonią Warszawa i Wisłą Kraków.

LISTY i polemiki

POWIĘKSZYĆ LIGĘ!

Artykuł Ryszarda Świerkowskiego pt. „Powiększyć ligę" („Wiadomości" nr 27/640) wzbudził duże zainteresowanie wśród naszych Czytelników. Dzisiaj publikujemy fragmenty dwóch dużych listów, nadesłanych do naszej redakcji.

SZANOWNA REDAKCJO!

Wszyscy pamiętamy jak Śląsk grał słabo w rundzie jesiennej i beznadziejnie na początku rundy wiosennej, kiedy to przez 3/4 sezonu był „czerwoną latarnią" tabeli. Skąd więc ten pech? Kilka ostatnio wygranych meczy nie może jeszcze o żadnej wielkiej metamorfozie zespołu. Słaba gra drużyny i wybitna indolencja strzałowa w konsekwencji doprowadziły do spadku (raczej zasłużonego) z I ligi.

Degradacja powinna być analizą błędów szkoleniowo - taktycznych popełnianych w ubiegłym sezonie i bodźcem do lepszej, bardziej wytężonej pracy w nowym sezonie.

Nie wiem czy prawdziwy kibic i sportowiec Wrocławia byłby zadowolony ze „sztucznego" wprowadzenia zespołu do I ligi. Wierzymy, że tak sympatyczna drużyna, jak Śląsk, wywalczy awans po sportowemu — omijając wszelkie, nie przynoszące jej chluby — postulaty.

Z poważaniem
ALEKSANDER HAMOWSKI
Wałbrzych,
ul. Weteranów 18

DROGA REDAKCJO!

Śląsk' nie jest dobrą drużyną, czego dowodem jest to, że co roku (z jednym wyjątkiem) musi ratować się przed degradacją. Dlatego nie ma co jęczeć i narzekać, tylko drużyna powinna nauczyć się tak grać, aby na przyszły rok weszła z powrotem do ligi i więcej z niej nie spadła.

Wisła' i Cracovia' są drużynami, które rozsławiły nasze piłkarstwo przed i po wojnie nie tylko w Polsce, ale i w Europie, ale aby spadły do drugiej ligi, nie płakały, nie żebrały, o miejsce w ekstraklasie — walczyły i wywalczyły pierwszą ligę.

N. N.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Recepta na pierwszą ligę

Romuald Nader

MIAŁ BYĆ WYJĄTKIEM, czy po prostu „szargając rodzinne świętości" postanowił tylko sprzeniewierzyć się tradycji? Na to pytanie nie otrzymałem jednoznacznej odpowiedzi. Nie ono jest zresztą najważniejsze. Mówi, że chciał zapomnieć; pragnął wyzwolić się z kręgu rodzinnego albumu, w którym wszyscy, na każdym choćby najbardziej pożółkłym zdjęciu byli nauczycielami. Ale on wie, zdecydował — nauczycielem nie będzie, musi wyjść poza rytuał rządzący budynkiem z klasami i tablicami, poza ten czerwony gmach stojący na peryferiach Dzierżoniowa, gdzie „ojciec był kierownikiem, a potem kierownikiem została — matka". Wcale nie dlatego, żeby zawód nauczycielski budził jego awersję, czy żeby chciał grobić wszystkim w rodzinie na złość, po prostu marzyły mu się ukryte za horyzontem dalekie lądy — rejsy na rozhuśtanych morzach i oceanach. Obmyślił to jeszcze będąc chłopcem, ze świadectwem dojrzałości w kieszeni dokonał wyboru, wyboru notabene z takim trudem zaakceptowanego przez rodziców.

Marzenia i rzeczywistość, na przekór młodzieńczym nadziejom, nie zawsze znaczą jedno. Toteż marynarzem nie został. Nie został, bo dla świeżo upieczonego absolwenta dzierżoniowskiego Liceum Ogólnokształcącego tam, na Wyrzeżu, w Państwowej Szkole Morskiej, zabrakło miejsca. „Miejsce" znalazł natomiast... w gdańskim Studium Nauczycielskim kształcącym nauczycieli wf. Koło się zamknęło. Rodzinnej tradycji stało się zadość. Z pożytkiem przede wszystkim dla Dzierżoniowa, w którym kierownik Powiatowego Ośrodka Propagandy Partyjnej, Tadeusz Sowiński może mi teraz rekomendować Konrada Schneidera następująco:

— Wiecie, to młody, energiczny nauczyciel. Jednocześnie fanatyk sportu. Fanatyk, w dobrym tego słowa znaczeniu. Potrafił, rozpoczynając od abecadła, nie tylko już po pięciu latach wprowadzić trenowaną przez siebie drużynę żeńską „Lechii" do I ligi, ale zjednać tej, nie mającej uprzedzenia na naszym terenie żadnych tradycji, dyscyplinie sportu liczne grono sympatyków.

Spytałem:

— Czy w powojennej sportowej historii Dzierżoniowa jest to szlagier najwyższego lotu?

Odpowiedział:

— Po raz pierwszy Dzierżoniów doczekał się drużyny, która już jesienią wystąpi w ekstraklasie krajowej.

A on sam — Konrad Schneider, kiedy na krańcach Dzierżoniowa, w czerwonym budynku Szkoły Podstawowej nr 2, będziemy oglądali dyplomy, wycinki prasowe, fotografie — powie więcej:

— Jestem przekonany, że po raz pierwszy Dzierżoniów będzie się kojarzył ludziom w kraju nie tylko z „Diorą"...

— Pan myśli o swojej drużynie? — wtrąciłem.

Zdziwił się, że wątpię:

— Oczywiście! — odpowiedział.

Będąc w studium „rozkochał" się w szczypiorniaku, przede wszystkim w walorach widowiskowych, jego zdaniem, atrakcyjniejszych od piłki nożnej, wiecej, od wszystkich znanych nam dyscyplin sportu. Niemniej do swojego miasta, z dyplomem nauczyciela wf wrócił bez konkretnego planu. Zresztą, powiada, królowała tu piłka nożna, z którą — łamiąc nawyki działaczy, a również przyzwyczajenia kibiców — konkurować nie sposób. Toteż zapewne nie byłoby w Dzierżoniowie drużyny pierwszoligowej, gdyby nie fakt, że 23-letni wówczas Schneider chodząc na piłkarskie mecze nie mógł patrzeć jak drużynie z jego miasta strzelają gole inni. Wówczas postanawia „doprowadzić dzierżoniowską drużynę choćby do drugiej ligi". Dodajmy, drużynę, której wówczas w ogóle nie było. Ale wkrótce będzie, bo uczniów swojej szkoły: młokosów z piątej, szóstej i siódmej klasy uczy gry w szczypiorniaka. Uczy zabawy w piłkę ręczną, do której zjednuje z czasem także młodzież innych szkół. Początkowo, by nie zrazić chłopców i dziewcząt traktuje wszystko, jak powiada, ulgowo, choć już wówczas wie, że liga być musi.

Rozpoczynając pracę od podstaw — szuka poparcia. Pomocy. Ale ludzie wzruszają ramionami: — Piłka ręczna, a co to jest? — pytają. Niepowodzenia nie załamują go, nie skłaniają do rezygnacji, wiecej, są dopingiem do coraz intensywniejszej pracy. Wreszcie, w 1963 roku, przy międzyszkolnym ośrodku wf i sportu udaje się mu utworzyć sekcję wyczynową piłki ręcznej — „Żagiew"; w okręgu zarejestrować drużyny: juniorek i juniorów. Choć to dopiero początek — cieszy się tym faktem ogromnie. Cieszy tym bardziej, że już po dwóch latach jego podopieczne zdobywają trzecie miejsce w mistrzostwach Dolnego Śląska juniorek — drużyna zostaje przyjęta pod opiekuńcze skrzydła KS „Lechia". A w dwa lata później zdobywa mistrzostwo Dolnego Śląska, kwalifikując się do drugiej ligi.

Przysłowie powiada, że apetyt rośnie w miarę jedzenia — toteż Schneider stawia swoim podopiecznym cel: obiecuje dziewczętom pierwszą ligę... i aplikuje im taką dawkę treningu, że, powiada, gdyby jego przepowiednie nie spełniły się, w drużynie pozostałby tylko trener. Znaczy — on sam. Zwłaszcza, że na dziewczęta z Dzierżoniowa coraz większą uwagę zwracają leniwi działacze innych okręgów, obiecując im „za przejście", za zmianę barw klubu, splendory najwyższe: atrakcyjne posady, mieszkania...

Szturmowi młodej dzierżoniowskiej drużyny do bram pierwszej ligi towarzyszy z każdym dniem coraz większe zainteresowanie kibiców. Z czasem dochodzi, wydawałoby się, do paradoksu: na mecze piłki ręcznej przychodzi więcej ludzi, niż na mecze piłkarskie. Dzieje się tak wówczas, kiedy dziewczęta z Dzierżoniowa kwalifikują się do grupy półfinałowej, kiedy w tej grupie, na oczach swoich kibiców zdobywają drugie miejsce, kiedy, wreszcie, z Nowej Huty przychodzi tak bardzo oczekiwana, zdawałoby się nieprawdopodobna wieść: drużyna „Lechii" okazała się być najlepszą, weszła do pierwszej ligi. Czyż można się dziwić, że Krystyna Kuleta, Zuzanna Kapica, Helena Kapica, Krystyna Graboś, Teresa Kilian, Alicja Kuleta, Krystyna Pawlik, Alicja Jencz, Krystyna Bartoszyńska, Krystyna Szczudło, Irena Pacek — należą dzisiaj do najpopularniejszych sportowców Dzierżoniowa? Bijąc popularnością nawet piłkarzy „Lechii"?

Pytam więc Konrada Schneidera, 28-letniego nauczyciela z Dzierżoniowa, o główne przyczyny sukcesu. Odpowiada krótko:

— Przede wszystkim praca. Praca rozpoczęta pięć lat temu, kiedy dziewczęta były jeszcze uczennicami szkoły podstawowej...

— Czy tylko?

— Tak, tylko.

Sukcesowi nie towarzyszą, niestety, same radości. Wszystko wskazuje na to, że z braku hali sportowej, dzierżoniowskie dziewczęta mecze będą rozgrywały... w Kłodzku. Chyba, chyba, że zabiegi K. Schneidera o kupno hangaru „hali nadmuchiwanej" zostaną uwieńczone sukcesem.

Na zdjęciu od lewej (stoją): Krystyna Kuleta, Zuzanna Kapica, Helena Kapica, Krystyna Graboś, Teresa Kilian, Alicja Kuleta, Krystyna Pawlik; (klęczą): Alicja Jancz, Krystyna Bartoszyńska, Krystyna Sitek, Krystyna Szczudło, Irena Pacek.

Fot.: T. Wszoła

Twórca sukcesu — Konrad Schneider

Trenerowi i dziewczętom z Dzierżoniowa życzymy tego szczególnie. Drużyna zasłużyła sobie na to, by w I lidze mecze rozgrywać przed własną publicznością.

Jeszcze raz potwierdziła się stara prawda: człowiek, fanatyk sportu, a nie obiekty decydują o sukcesie. Najmłodszy trener drużyny pierwszoligowej w Polsce Konrad Schneider dowiódł tego ewidentnie. Zresztą — nie on pierwszy. Dowiodły tego również dziewczęta, które miały szczęście że nauczycielem w ich szkole został Konrad Schneider, student poznańskiej WSWF, nauczyciel od września kierownik szkoły nr 2 w Dzierżoniowie. I choć miał być w rodzinie wyjątkiem, myślę, że dobrze się stało, że nim nie został. Powtórzmy to jeszcze raz — z pożytkiem dla Dzierżoniowa. Dla dolnośląskiego sportu.

Fot. T. Szwed

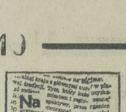

„KWIATY I BĘBNY"

TYM RAZEM, pisząc bez skrótów, oferujemy felieton Aleksandra Małachowskiego, zamieszczony w ostatnim numerze „Współczesności" pt. „Kwiaty i bębny". Jest on bardzo interesujący, ponieważ mówi nie tylko o Dolnym Śląsku i naszym województwie (przepraszam! — przewodniczącym Pres. WRN), lecz również o problemie ogólniejszym. Ale oddajmy głos Małachowskiemu:

„Po ukończeniu studiów — jak dawno temu — zacząłem pracować w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego we Wrocławiu. Mój ówczesny szef mgr Zdzisław Karśt, został mi w pamięci jako najzłośliwszy, najmądrzejszy i najlepszy człowiek, z jakim się w życiu zetknąłem. Po pracy Karśt wracał do domu i hodował róże. Na malutkim skrawku ogrodu przed domem miał ich ze sto — i ciągle o tych różach opowiadał. A były to lata pięćdziesiąte i wcale nie było pewne czy wysocy urzędnik państwowy powinien hodować róże... (...).

Potem namówiono mnie, bym przeszedł zawód urzędniczy, zaś mgr Karśt jako wiceprezydent Prezydium wrocławskiej WRN, zatwierdził się przez kilkanaście lat odbudowę Dolnego Śląska. Czasem go odwiedzałem i znowu opowiadał o różach. Teraz już nie ma własnym ogródku, ale w osiedlackich miast dolnośląskich, na skwerach publicznych i w parkach, polecał sadzić róże. Po kilkaset tysięcy sztuk rocznie. Zwiedziłem kilka dni temu część dolnośląskich miasteczek. Odnowione, odbudowane — lśnią kolorowymi tynkami i kwiatami. Mgr Karśt jest już wiceprezydentem tamtejszym, co w biurokratycznym żargonie brzmi znacznie corzej — wiceprezydentem Prezydium WRN. Co dziwniejsze, nikt tych publicznych kwiatów nie rwie i nie wtarcza — co jakoś tam świadczy o kulturze mieszkańców: co stanowi dowód, że kwiaty mają być częścią kultury społecznej. Szkoda własnych kwiatów mają także ludzie na Dolnym Śląsku. Chyba jeszcze więcej niż publicznych.

W samym Wrocławiu z nowych rzeczy widziałem Filharmonię. Mała, skromna ale ładna. Mamy młodych, obcych życie muzyczne. Melomani się cieszą. W sobie jest dobrze. Dziwią się o tej Filharmonii ulice i ładnie teraz chcieliśmy się czemś dołączyć z tych artykułów. Dyrektor Pres. ze zmartwieniem dyrekcji Filharmonii jest to, że robotnicy nie uczęszczają na koncerty, i że tym trzeba teraz zająć, by ich przyciągnąć. Zastrzyłem uszami. Jak to naprawdę jest? Bo takie głosy słyszy się często. Chodzenie przez robotnika na koncerty i do teatru, jest traktowane jako wznoszenie się na wyższy szczebel kultury.

W takim ujęciu kultura jest budowlą wielostopniową, na szczycie której wznosza się muzy. Człowiek kulturalny to taki, który do tych muz zdąża. Tylko, że nie ma muz od kwiatów i zwierząt, muz od owoców i jarzyn. Hodowca róż jest w takim ustawieniu czymś autentycznie gorszym od słuchacza bębnów i piszczałek. Nigdy nie czytałem artykułu, w którym autor skarżyłby się, że inteligencji i intelektualiści uprawiają za mało ogródków działkowych, co jest klasycznie robotniczym hobby zaś wiele jęczy się o tym, że robotnicy zamiast na koncert wolą pójść na działkę. (...).

Jeśli gromada młodych ludzi w małym mieście zacznie się skrzętnie uwijać, sam minister Motyka wręczy im duży komplet bębnów i piszczałek wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych i wszyscy będą szczęśliwi. Chłopcy, bo dostali kilkadziesiąt tysięcy w prezencie, działacze kultury, bo pozbierają i wypłowiałą ministerstwu Motyka — bo rozwija mu się statystyka zespołów amatorskich. Minister, który przeznaczyły kilkadziesiąt tysięcy złotych na zakup pięknego importowanego zestawu perkusji róż dla grupy młodych entuzjastów w małym mieście, wytwielałby zapewne z rządu, może nawet trafiłby do kryminału za marnotrawstwo grosza publicznego, a w każdym razie, gdyby go tamte rzeczy nie wzruszały, musiałby się gęsto tłumaczyć ze sprzyjania postawom konsumpcyjnym wśród młodzieży.

Jeśliby ów muzyczny recenzent wrocławskiej gazety napisał, że jest jeszcze wielu ludzi, którzy mogliby pobić muzykę powinną i trzeba by tych ludzi nauczyć chodzić do Filharmonii — wieszyłbym się czytając takie słowa, bo wydawałoby mi się zawsze, że muzyka jest dla melomanów, bez względu na ich pochodzenie społeczne. Gdy zaś czytam, że robotnikom należy nauczyć kochać muzykę — wówczas słyszę w takim zdaniu pełną pogardę do robotniczych kwiatów i gołębi, do wieczorów na działkach i na ławkach przed domami.

Podziwiam mądrość wojewody Karsta, który ludzi na Dolnym Śląsku nauczył kochać kwiaty. Przed dziesiątkami tysięcy domów prywatnych rosną tam dzisiaj najróżnorodniejsze rośliny. Sadzą je wszyscy. Robotnicy, urzędnicy i uczeni. Ale Karst nie wiedział, kto polubi kwiaty, kiedy je zaczynał sadzić".

SERCE I KLUCZ WIOLINOWY

Ów sen lat temu była to impreza szkrojona na miarę Polski powstałowej: cłou programu stanowiły występy amatorów i zespołu harcerskiego. Nie ujmując nic działalności kulturalnej amatorów i młodzieży — trzeba z radością podkreślić fakt, że Festiwal Moniuszkowski obrósł w tradycję i nabrał rozbiwiłości.

TEGOROCZNY, ósmy już festiwal był ściśle związany z obchodami 150 rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki. Z tej okazji w ludowskim porku zdrojowym stanął pomnik wielkiego kompozytora dłuta Mieczysława Welłana, który odsłonił pomnikowy twórcy „Halki", p. Danuta Moniuszko-Janowska.

Przyjechali też, słuminiej niż zwykle gości. Prócz starych znajomych kudowskich melomanów: Opery Wrocławskiej i Chóru Wrocławskiej, Rozgłośni Polskiego Radia tym razem odwiedziła Kudowę Wielkopolska Orkiestra Symfoniczna im. K. Kurpińskiego, która wystąpiła pod batutą wybitnego dyrygenta i zarazem uczonego gawędziarza — konferansjera dra Jerzego Młodzijewskiego. Również Państwowa Operetka Śląska z Gliwic przyjechała do Kudowy pierwszy raz. Publiczność miała więc do wyboru przedstawienia operowe, operetki i balety, orkiestry, chóry, solowe popisy wykonawców i zespoły kameralne. Wiaśnie owa różnorodność form muzycznych jest podstawowym atutem kudowskiego festiwalu. Komitet organizacyjny (nb. pracujący społecznie) dobrał o kolejne atuty. Znów śladem lat poprzednich zaprezentowano publiczności mniej znane dzieło Moniuszki. Była to operetka „Ideal" przedstawiona przez gości z Gliwic i kilka utworów muzyki kameralnej. Widowna z zadowoleniem przyjęła również fakt poszerzenia repertuaru o utwory innych kompozytorów polskich. Opera Wrocławska wystąpiła z „Hamletem" Karola Szymanowskiego i „Weselem w Ojcowie" Karola Kurpińskiego.

Z bogatego programu imprez towarzyszących wymieńmy wystawę obrazującą życie i twórczość ojca polskiej opery. Przygotowała ją Warszawskie Towarzystwo Muzyczne im. Stanisława Moniuszki. Popołudniem dzieci się koncert laureatów VI Ogólnopolskiego Konkursu Śpiewaczego im. S. Moniuszki a także wystawa grafiki Janiny Kraupe-Świderskiej pt. „Tematy muzyczne". Owocną była konferencja zorganizowana przez sekcję krytyków SPAM, wrocławski oddział SPATiF i Dolnośląskie Towarzystwo Muzyczne. Temat spotkania: teoretyków i praktyków muzyki współczesnej. Był istotnie ciekawy: „Aktualne problemy teatru operowego w kraju". Dyskusja wykazała wiele braków i wad teatru operowego. Szczególnie dotyczą nagan zebrały szczególne szkołące specjalistów operowych. Był może zapropowanowy na konferencji ogólnopolski teatr studyjny wokalistyki operowej rozwiązałby jeden z wielu problemów gnębiących operę.

Za największy spośród pozytywów kudowskiego festiwalu uznali lipcowi goście Kudowy jego niepowtarzalną atmosferę. Jest w tym sporoże zasługa niezapomnianej scenerii, jaką tworzy stare zdrojowisko i jego z roku na rok piękniejszy park. Ale jest i niezaprzeczalna zasługa organizatorów, którzy w tym roku przerosły raz-gościom festiwalu prócz roli słuchaczów i widzów naznaczyli rolę współtwórców imprezy. Słuchy temu przede wszystkim spotkania audytorium festiwalowego z komitetem organizacyjnym festiwalu, krytykami muzycznymi i kierownictwem Opery Wrocławskiej jako najpowszechniejszą kontrahentą imprezy. Quiz pod nazwą „Wiem wszystko o Moniuszce" cieszył się powodzeniem nie tylko w Kudowie ale i — podczas gościnnych koncertów — w Polanicy, Dusznikach i Długopolu. Jego uczestnicy rzeczywiście dużo wiedzieli o Moniuszce, zasługa w tym autorów programu, który prócz wyczerpujących informacji o festiwalowych imprezach i ich wykonawcach zawiera dużo ciekawych wiadomości o kompozytorze i jego epoce.

Zażartował słoń, że Kudowa powinna zmienić swój herb. Bo nie serce jest jej godłem symbolem (choć jego obecność leczy się tu), a klucz wiolinowy. Wiele w tym racji, nie tylko dlatego, że Festiwal Moniuszkowski stał się już imprezą o znaczeniu ogólnopolskim, a nawet ściągnie melomanów z zagranicy, w tym wielu bawili w Kudowie np. profesorowie Konserwatorium Wileńskiego, J. Karosas, S. Wajnlunas i W. Parketuras. Znaczenie festiwalu świadczyło w czym innym. Oto na krzesłach teatru „Pod Blachą" obok melomanów siedzą nierzadko ludzie, którzy pierwszy raz stykają się z muzyką przez duże „M", i właśnie utwory Moniuszki, doskonale piękne i komunikatywne zarazem, bliskie naszej muzyce ludowej, chyba najlepiej nadają się na pierwszą lekcję trudnej umiejętności: sztuki rozumienia i kochania muzyki.

MARIA BULACKA

W parku zdrojowym przy teatrze „Pod Blachą" stanął pomnik Stanisława Moniuszki dłuta warszawskiego rzeźbiarza Mieczysława Welłara. W uroczystości odsłonięcia udział wzięła praprawnuczka kompozytora, Danuta Moniuszko-Janowska. Fot. Andrzej Skrzygocki

STRACONE SZANSE

GEORGES SIMENON, klasyk literatury sensacyjnej, należy do ścisłej czołówki najpopularniejszych pisarzy świata. Już od wielu lat niezliczona ilość egzemplarzy rozchodzi się w milionowych nakładach i bije tym samym rekordy powodzenia na rynkach wydawniczych. Nic więc dziwnego, że twórczością Simenona zainteresował się film. Adaptację największych bestsellerów książkowych i sztuk teatralnych były i są nadal żelaznymi pozycjami każdej kinematografii. O ile jednak kilkakrotne nawet przenoszenie na ekran wybitnych dzieł literatury światowej (jak to miało miejsce np. w przypadku Szekspirowskiego „Hamleta") nie budzi najmniejszych wątpliwości co do celowości tych poczynań, o tyle powtarzające się ekranizacje typowych pozycji repertuaru rozrywkowego nie posiadają już żadnego uzasadnienia.

„Obcy w domu" jest drugą z kolei adaptacją znanego opowiadania Simenona. Przed laty oglądaliśmy w Polsce francuską wersję tego utworu zrealizowaną przez rutynowanego twórcę Henri Decoina. Obecnie mamy okazję porównać ją z angielską. W zasadzie debiutujący tym utworem reżyser Pierre Rouve miał wszelkie szanse by jego film stał się kasowym przebojem. Rzadko która powieść Simenona tak doskonale odpowiada wymogom filmu jak właśnie utwór pt. „Obcy w domu". Wartka akcja, atrakcyjna fabuła, interesujące tło obyczajowe, wreszcie świetny rysunek postaci składają się na wymarzony scenariusz analnego filmu rozrywkowego. Pierre Rouve posiadał jeszcze atuty w postaci aktorów, a mianowicie znakomitego Jamesa Masona, wschodzącej gwiazdki — Geraldine Chaplin i popularnego piosenkarza młodzieżowego Bobby Darina. Gdy do tego wszystkiego dodamy jeszcze szeroki ekran, kolor i efektowną piosenkę śpiewaną przez zespół „Animals", możemy mieć niejakie wyobrażenie o tym, jakie możliwości mieli do wykorzystania twórcy tego filmu.

Szczerze można stwierdzić, że „Obcy w domu" jest filmem beznadziejnie złym. Przerobka scenariusza, która miała uwspółczesnić realia powieści i zaakcentować tło obyczajowo-społeczne, okazała się fatalna w skutkach. Reżyser nie potrafił poradzić sobie z przeładowaną fabułą, wzbogaconą o niepotrzebne zresztą wątki i do tego stopnia pogmatwał akcję, że tego utwór może posłużyć jako doskonała lekcja na temat „jak się nie powinno robić kryminalnych filmów". Jeśli powyższe zarzuty można w równym stopniu postawić tak reżyserowi jak i autorowi zmienionego scenariusza, to „kiczowatość" niektórych scen i absolutny brak dobrego smaku są już chyba efektem zbiorowego wysiłku całej ekipy realizatorskiej ze scenografem na czele. Ponieważ tego rodzaju uwagi rozciągają się na wszystkie niemal elementy tego filmu, warto wspomnieć o aktorze, który jedli nie bratował (tego już nie był w stanie dokonać), to na pewno podniósł trochę poziom tego pretensjonalnego kryminału.

James Mason, bo o nim mowa, gra role starego adwokata, którego opuściła żona i który — wskutek innych jeszcze porażek życiowych — wpadł w nałóg pijaństwa. Geraldine Chaplin jest jego córką, dla której ojciec, wzięty niegdyś prawnik, powróci raz jeszcze na sale sądową, by bronić przyszłego zięcia oskarżonego o morderstwo.

Mason świetnie sobie poradził z tanią dydaktyką i płytką dialogów i brawurowo zagrał rolę wykolejonego adwokata. Nawet w tak niedobrym filmie, jakim jest „Obcy w domu", potrafił nadać wysoką rangę swojemu aktorstwu. Szkoda tylko, że w tym godnym uznania wysiłku James Mason pozostał całkowicie odosobniony.

EWA STASKO

„Obcy w domu" prod. angielskiej. Reżyseria: P. Rouve Scenariusz: P. Rouve Zdjęcia: R. Higgins Muzyka: P. J. Scott Wykonawcy: J. Mason, G. Chaplin, B. Darin i inni.

CZY ŚWIĘTY JACEK WYMYŚLIŁ PIEROGI?

POPULARNE w Polsce przekładło „Święty Jacek z pierogami" odnosi się najprawdopodobniej do Jacka Odrowąża, żyjącego w trzynastym wieku w Sandomierzu. Ale co ma wspólnego święty Jacek z tak ogromnie lubianą w Polsce potrawą jak pierogi, n.b. potrawą przywiezioną do nas z Rusi? Nad tym gastronomiczno-religijnoznawczym zagadnieniem zastanawia się Maria Iwaszkiewicz (z „Przekroju") w uroczej, pełnej humoru książeczce pt. „GAWĘDY O JEDZENIU" wydanej przez wydawnictwo Kultura Życia Codziennego „Watra".

Jest to zbiór felietonów częściowo drukowanych w „Przekroju", ale uzupełnionych i na nowo opracowanych. Cóż za kopalnie ciekawych propozycji kulinarnych dla smakoszy i hobbystów! Te szaszłyki, zające, kuropatwy, koniszonki, desery i frukta, przepisy kuchni regionalnych polskich i obcych, a na zakończenie — przepisy samego mistrza Władysława Kucharskiego, który tak mówi o sobie: „Pochodzę z rodziny kucharzy. Jestem wnukiem i synem kucharza. Jeden z moich synów jest też kucharzem, ale jest z dynastii ostatni. Na jego grobie trzeba będzie złamać kopyść".

A tymczasem mamy pełnię lata. A latem lubimy się trać „masowo i czym się da. Ale najczęściej i najchętniej oczywiście grzybkami, zbieranymi w letnich lasach w czasie niedzielnych i urlopowych wędrówek. W niektórych księgarniach znaleźć można jeszcze przy odrobinie szczęścia „Atlas grzybów jadalnych i trujących", który pomoże amatorom grzybobrania w rozróżnieniu muchomora od borowika, ale — i tu mała pretensja do wydawców — tego typu wydawnictwo jak atlas grzybów powinno być w sprzedaży ciągle i wszędzie, w księgarniach, kioskach, wiejskich punktach sprzedaży książek.

Kłopot mają również zbieracze ziół. I dla nich brak w księgarniach wznowień odpowiednich poradników. Jest tylko jeszcze w księgarni rolniczej praca Bagińskiego i Mowszowicza „Krajowe rośliny lecznicze", wydana przez PWN w cenie 35 zł.

Od ziółek przejdźmy do chemii, sięgając po wydany przez Państwowy Zakład Wydawniczo-Szkolarskich, a napisany przez dra Andrzeja Korzaka tomik pt. „CHEMIA I ZDROWIE W TWOIM DOMU". Chemia wtargnęła we wszystkie dziedziny życia człowieka. Jej rozwój wpłynął na jakość i ilość odżywiania, ubierania, na rodzaj i jakość otaczających nas przedmiotów codziennego użytku. Chemia — po ogromne korzyści dla człowieka i jego gospodarki, a jednocześnie — powszechne zagrożenie ze strony związków chemicznych, z którymi człowiek styka się na co dzień.

Czy zdajemy sobie sprawę z tych korzyści i niebezpieczeństw? W większości przypadków — nie. Bo o ile niemy co nieco o zanieczyszczaniu wody, o szkodliwych nieraz wpływach środków owadobójczych (DDT), o zatruwaniu ryb w rzekach, o pyłach i spalinach nie przydających świeżości powietrzu, którym oddychamy, to nie wiemy, że na przykład:

— w Australii na skutek opylania drzew owocowych środkiem arsenowym powstał — via pszczoły — miód arsenowy;

— zdarzyło się u nas w kraju, że w jednym z województw wycofano ze sprzedaży masło zawierające środki insektobójcze, bo w stawie, w którym pojono krowy, myto przedtem aparaty do sprzątkania rośliny.

Ale nie „wpadajmy w panikę! Nad naszym zdrowiem czuwa wszak służba sanitarno-epidemiologiczna, pracują nad tymi zagadnieniami wielu uczonych w kraju i za granicą.

A w ogóle — dbajmy o higienę w najpieniejszym tego słowa znaczeniu, bo przecież jeszcze tu i owdzie aktualny jest poniższy wierszyk:

„Rodak myć się nie wielbła
zbyt starannie,
rodak węgiel i kartofle
trzyma w wannie,
Jak rodaka przyzwyczaić
do kąpieli,
skoro wodę z wyższych piecy
diabli wzięli?"

ALICJA KASIEWICZ

polska muzyka młodzieżowa

TROCHĘ O „TOWARZE"

czyli katastrofiści są wśród nas

W KILKU ostatnich numerach fachowego czasopisma, które zajmuje się lżejszymi gatunkami muzyki (mowa oczywiście o „Jazzie" i jego dodatku „Rytm i Piosenka") toczy się dyskusja na temat rodzimej muzyki młodzieżowej. Coraz bardziej zapalczywi dyskutanci wytaczają ciężkie argumenty, gromiąc tę muzykę ile się tylko da. W czerwcowym numerze zabiera głos Jan Abstawski rozprawiając się z tą muzyką ostatecznie. W konkluzji swojego artykułu pisze mianowicie tak: „Nie mamy dobrej muzyki młodzieżowej i nie powinniśmy tego ukrywać. Brak nam nie fachowców, lecz ludzi z szeroką artystyczną wyobraźnią. Stary schemat uciechy dla tłumu — czym była niegdyś muzyka rozrywkowa — zamiera nawet na Zachodzie. Tym bardziej u nas, gdzie tłumu nie ma, można by piosenkę połączyć z kulturą. Nie zastąpi więc przeciwnikiem beatu krajowego, nie czuję niechęci do osób, które u nas grają i śpiewają, pragnę tylko, jak każdy odbiorca otrzymać dobry towar". W całym zaś artykule Jan Abstawski przeciwstawia polską muzykę tego typu światowej awangardzie, wolewając nad tym, jak dalece jest od niej odległa. A oto jeden z koronnych argumentów autora przytaczanego artykułu: „Argumentem — tyle sprytnym co nonsensownym — na rzecz polskiego big-beatu i jego linii rozwojowej jest hasło poszukiwania dla piosenki młodzieżowej „polskiego charakteru", „własnej twarzy" itp. Nikt jednak nie wdzi, lub dostrzec nie chce, iż ta szlachetna idea sprowadza się do problematycznej pozycji na koncie wykonawcy, który wciągnął do swego repertuaru coś o charakterze „ludowym" lub „zaangażowanym". Tyle, że nikt nie wspomina tego „czegoś", gdy przyjdzie do rozpatrzenia piosenki pod kątem widzenia poziomu artystycznego. Twórcom i odtwórcom muzyki młodzieżowej, którzy mogą wykazać się pracą w dziedzinie muzyki zaangażowanej pozostawia się wolną rękę w dalszej twórczości; mogą już dalej prawić swoje sentymentalne i melodramatyczne nonsensy". Tyle p. Abstawski. Głos ten wydaje się być tyleż oryginalny co skrajny w głoszonych poglądach i bezgranicznym wprost zapatrzeniu na tzw. „Zachód". Zastanówmy się więc czy istotnie polska muzyka młodzieżowa znajduje się na krawędzi przepaści.

JESTEŚMY na pewno w o ulicie lepszej sytuacji niż autor omawianego artykułu — bowiem mamy już poza sobą Opole, gdzie w tym roku — jak nigdy przedtem — potwierdziła się supremacja beatu w polskiej muzyce tzw. rozrywkowej. Nie tylko przecież dlatego, że trzy główne nagrody przypadły w udziale grupom i utworom beatowym, ale również dlatego, że to, co żywe i — właśnie — awangardowe wniosły z sobą zespoły uprawiające tę muzykę. Ów „towar" zaprezentowany na festiwalu opolskim był wcale przedniego gatunku. Śmiem twierdzić, że polska muzyka młodzieżowa nie jest wcale gorsza od tego, co się dzieje na Zachodzie, a czasokroć nawet lepsza. Analizując zachodnią muzykę tzw. „pop'owa", liczne listy bestsellerów, przeróżne radiowe parady czy wreszcie słuchając płyt z nagraniami czołowych grup angielskich czy amerykańskich stwierdzamy przecież, że my to wszystko u nas mamy. Mamy zespoły typu the Tremeloes albo the Hollies — taką rolę twórców masowego szlagieru beatowego spełniają u nas „Trubadurzy" czy — w ambitniejszą, na pewno sposób — „Czerwone Gitary". Mamy również grupy przynależące do tzw. soul'music, są to Niemen i „Akwarele" czy ostatnio wychodząca na czoło polskiego beatu „Grupa ABC". Andrzeja Nebeskiego Ballady typu folk-music i protest-songs w stylu Boba Dylana, Joan Baez czy Barry McGuire'a śpiewa doskonała w tym gatunku Maryla Rodowicz. Wreszcie światową awangardę reprezentuje „Breakout" wraz z Włodzimierzem Nahornym i można śmiało stwierdzić — choć może to się wydać dziwne, że nie uprawia muzyki wcale gorszej od grup typu Jethro Tull, Led Zeppelin czy Chicken Shak. Czy to jest sytuacja zła? — na pewno nie. W końcu nasza muzyka beatowa jest niewątpliwie wtórną w stosunku do zachodniej; dzieli nas przecie od niej czas powstania — wszak wtedy kiedy na Zachodzie dochodziła do głosu najbardziej awangardowa awangarda, u nas o takich gwiazdach jak „Breakout" nie było ani widu, ani słychu. Dzieli nas poza tym inny krąg kulturowy i nie ma rady — to nie oni na nas a my na nich wzorowaliśmy się. Mamy jednak w polskiej muzyce „pop'owej" zjawiska nasze, rodzime, charakterystyczne tylko dla niej i wyróżniające ją od innych. Mam na myśli „No To Co", a także „Alt-Babki". Pierwszy z zespołów niewątpliwie obniżył swe loty i nieco się już „wyprztykał" ale przecież nikt mu nie odmówi rdzennej polskości i oryginalności. Niegdyś oszałamiające powodzenie odnosił na angielskich listach przebojów irlandzki zespół the Dubliners, który wykonywał ludowe ballady swego kraju. „No To Co" jest na pewno o niebo lepszą grupą i jej sukcesy poza granicami świadczą i o jej poziomie muzycznym, i oryginalności. Słusznie więc nazwano się jej „Złotą Waszką". „Alt-Babki" zaś są rewelacją, jakiej polska muzyka „pop" jeszcze nie miała. Zaskakująca sprawność muzyczna i nie spotykane nawet na zachodzie brzmienie dają tej grupie możność wypłynięcia nawet poza granicami.

BŁĄDU! Jan Abstawski nie zna braków awangardy a nie dostrzega tego, że czegokolwiek w tym zakresie nie zrobimy, zawsze będziemy w stosunku do Zachodu „do tyłu"; nie mamy bowiem ani możliwości, ani odpowiedniego sprzętu. Dlaczego więc nie mamy robić muzyki rdzennie polskiej i — również — zaangażowanej? Dlaczego mamy buntować się przeciw „Czerwonym Gitarom", które wprawiają muzykę dla „mas" ale za to — jak świadczy główna nagroda w Opolu — robią to dobrze? A w zakresie awangardy — oprócz „Breakout" działa przecież wybitnie awangardowa grupa „Romuald i Roman", którą na warszawskiej „Musicoramie" nawet znający się na tym i mający to na co dzień Holendrzy byli zachwyceni, a Roman Waschko przyznał jej swoją „Złotą Waszkę".

Konkludując: „towar" jest chyba nieźły, tylko coś za dużo katastrofistów.

ANDRZEJ KISIEL

Nowy Lubin

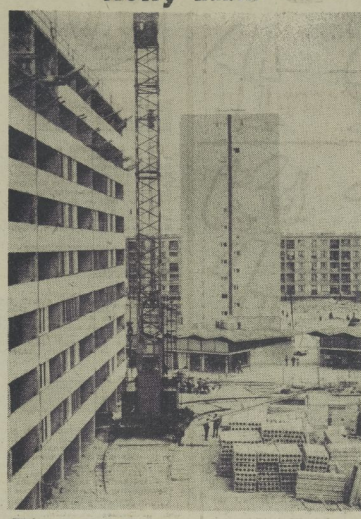

Wieżowce na osiedlu St. Staszica. Fot. Marek Grotowski

DAJ MU W ŁAPĘ...

„...pouczali się nawzajem rolnicy z okolic Bogatyni, gdy dobrze podchowane bydło lub trzodę trzeba było doprowadzić do punktu skupu. Każdy z nich chciał jak najlepiej, najkorzystniej dla siebie swoje sztuki sprzedać, ale klasyfikator, wyrocznia w sprawie tzw. klas żywca, znany był z tendencji ich obniżania — lub podwyższania, w zależności od sumy, jaką dostawca skłonny był zadeklarować w zamian za zmianę klasyfikatorskiej decyzji. Nie lada sztuka było „trafić" w kieszeń, która pana klasyfikatora, Jerzego Wajngartena, zadowoliłaby od razu i z góry życzliwie nastawiła do wydania pozytywnej opinii. Kłopoty tego rodzaju pokonywać musieli przede wszystkim ci z dostawców, którzy niezbyt często odwiedzali punkt skupu żywca w Bogatyni. Brak im było znajomości panujących tu zwyczajów, gustu i potrzeb klasyfikatora, a ponadto, mając do sprzedania jedną krowinę pragnęli cały za nią ekwiwalent pieniężny zatrzymać dla siebie. W związku z powyższym narażali się na nieprzyjemności ze strony Wajngartena, a nawet na dociinki wytrawnych graczy, hodowców, których nazwiska jako sprzedawców w ewidencji punktu notowano kilka razy w roku. Człowiekiem bez taktu na przykład, w oczach klasyfikatora, okazał się Jan Biskup, który jak mówił, w najlepszej wierze, z wdzięczności za zawodową usługę klasyfikatora, próbował wręczyć mu 70 zł — „na pół litra".

— Panie, to ma być ofiara na kościół, czy na biednych? — zadrwił mocno w swych ambicjach urażony Wajngarten. Aleksandrowi Saryło, wręczającemu mu 100 złotych polskich — „na dobry obiadek, panie klasyfikatorze" — odpalił:

— Co to, śmieszki jakieś sobie ze mnie robicie, czy co, do jasnej..!

Oczywiście nie formą łapówki, lecz jej znikomą wartością tak bardzo poczuł się obrażony. Dołożyli więc: Biskup 290, a Saryło 300 złotych „na zgodę". Mieliby więc „konto" łaskawości klasyfikatora otwarte, ale wypadki potoczyły się w innym zgoła kierunku. Przebrała się miarka hojności i łapczywości. Okrągłe, półtysięczne sumki (minimum „opłaty" stanowiło 400 zł), płacone przez wielu innych dostawców, urwały się. Pan klasyfikator poszedł na trzy lata podumać za kratkami o znikomości doczesnych dóbr, a jego ofiary, pouczają się teraz za pośrednictwem przysłowia, że „dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie".

Ofiary? Czy ludzi, którzy dobrowolnie płacili łapówki nieuczciwemu klasyfikatorowi godzi się zwać ofiarami? Absolutnie nie. Są oni współwinnymi przestępstwa. Problem winy dość jasno naświetla wypowiedź jednej z owych niedoszłych ofiar:

— Miałem dwie sztuki bydła. Zakwalifikowane do I klasy dawały mi duży zysk, tak że nawet po odpaleniu żądanej doli klasyfikatorowi, i tak jeszcze dużo zostało mi „na czysto".

A oto inna odpowiedź na pytanie: dlaczego płacili?

— Wiedziałem, że moja jałówka jest w I klasie, ale klasyfikator się uparł, że może ją dać tylko na II klasę. To byłoby dla mnie wielka strata, to co miałem robić? Wolałem mu dać w łapę, przez co mniej traciłem.

Pierwszym z dostawców kierowała chęć zysku nie mniejsza od tej, jaka owładnęła Wajngartena. Drugi, przekonany o swojej racji, wołał „nie zadzierać". Tak czy owak, jedni i drudzy umożliwiali klasyfikatorowi, mówiąc językiem prawa „przyjmowanie korzyści majątkowej".

Jest to zresztą zjawisko powtarzające się nie tak rzadko — niestety. Nie myślę bronić łapówkarzy, nie mogę jednak także za niewinnych i bezradnych uznać ludzi, którzy te łapówki „w łapę" dają. Dzięki ich aspołecznej postawie, na „dolę", „odpalenie", „lewy zarobek" i niezasłużony „dowód wdzięczności" czekają ci, którzy swe obowiązki wykonywać powinni, ba — muszą, w ramach wypłacanych im, prawnie przysługujących poborów. ANNA JASTRZĘBSKA

Dwa ogniwa łańcucha

— Wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości... — sekretarz Rady Zakładowej w lubińskim Oddziale PKS-u bezradnie rozkłada ręce. — Niestety, załatwienie tej sprawy przekracza nasze możliwości.

Przedstawiony plik dokumentów, łącznie z ostatnim, z pierwszych dni lipca, ma być potwierdzeniem tych poczynań i to zarówno ze strony dyrekcji PKS, organizacji partyjnej, jak i rady zakładowej. Poczynań — na razie bezskutecznych, mimo że rzecz cała oparła się już nie tylko o władze powiatowe i wojewódzkie, ale nawet dotarła do ministra komunikacji... Ale nie uprzedzajmy faktów....

Oddział PKS-u w Lubinie, jak wszystko w tym mieście, jest jeszcze bardzo młody, ale zatrudnia już 430 osób, z czego prawie 200 kierowców. Dla podkreślenia roli tej placówki w rozwoju zagłębia miedziowego warto dodać, że z liczby 32 tysięcy osób przewożonych dziennie przez autobusy PKS, aż 18 tysięcy to pracownicy kopalń korzystający z tzw. przewozów zbiorowych na zlecenie zakładów pracy. Narzeka się zresztą stale właśnie na te pracownicze autobusy — że niezbyt regularnie jeżdżą, że są przepełnione, że jest ich za mało. Kombinat domaga się (i słusznie) zapewnienia ludziom wygodnych dojazdów do i z pracy, ale podobno upór PKS-u trudno przezwyciężyć. Poszukajmy wobec tego przyczyn, tego rzekomego uporu.

— Brakuje nam kierowców — tłumaczy przewodniczący Rady Robotniczej PKS. — W zeszłym miesiącu trzech kierowców przejeździło grubo ponad 400 godzin, przeciętnie każdy ma na swym koncie 360—380, podczas gdy norma wynosi 215 godzin. Tak więc kierowca pracuje u nas za dwóch. Jest to sytuacja niedopuszczalna — nie ma przecież kiedy odpocząć, a zmęczony, przepracowany kierowca może w każdej chwili spowodować wypadek.

— Kierowcy znaleźliby się — wtrąca sekretarz POP, uprzedzając pytanie dlaczego nie przyjmuje się więcej kierowców — ale wszystko rozbija się o brak mieszkań, których nie możemy nikomu zagwarantować.

— Nie możemy zaoferować nawet miejsca w hotelu robotniczym — dodaje sekretarz Rady Zakładowej. — Własnego hotelu nie mamy, korzystamy dosłownie z łaski innych przedsiębiorstw, a że „łaska pańska na pstrym koniu jeździ", to zdarza się, że już po miesiącu „wyprowadzają" naszego pracownika, bo miejsce jest potrzebne. Czy można się dziwić, że wtedy człowiek ten przychodzi i dziękuje nam za pracę?

— Odchodzi od nas, idzie do kombinatu i zanim minie pół roku już dostaje mieszkanie — mówi sekretarz POP.

Tak więc ludzie z PKS-u odchodzą, a nowych zwerbować trudno, bo stawiają stale ten sam warunek — mieszkanie. A właśnie to jest przeszkodą jak na razie nie do pokonania.

Budownictwo z puli rad narodowych nie wchodzi w rachubę przede wszystkim dlatego, że właściwie nie istnieje, a poza tym ubiegający się o mieszkania najczęściej nie odpowiadają kryteriom, jakie trzeba spełnić, aby mieszkanie kwaterunkowe otrzymać. Pozostaje więc staranie się o mieszkanie spółdzielcze, co z pozoru nie wygląda na zbyt trudną sprawę, jako że w Lubinie istnieje i aktywnie działa spółdzielnia mieszkaniowa. Jednak kombinat i tutaj już dotarł i wszystko, co spółdzielnia wybuduje zarezerwowane jest dla pracowników KGHM. Pozostałym, tym niegórnikom, mimo że mają pełne wkłady mieszkaniowe, obiecuje się mieszkania za... pięć lat, a i tego terminu nie należy uważać za pewny. Oczywiście nikt nie chce czekać tak długo na własny kąt, tym bardziej, że jest on osiągalny już po paru miesiącach pracy w kombinacie. A więc wędrówka na trasie PKS — kombinat — trwa.

— Zwróciliśmy się do KGHM z prośbą o pomoc, o przekazanie nam kilku choćby mieszkań — mówią w PKS. — Wydawało się, że należy nam się — świadczymy przecież dla nich 3/4 usług. Niestety, odmówili:

„Zrwiadamiamy, że w chwili obecnej w KGHM oczekuje na mieszkania ponad 1000 pracowników. W przyszłym roku stan załogi zwiększy się o ponad pięć tysięcy osób. Biorąc pod uwagę nasze zwiększone potrzeby własne zmuszeni zostaliśmy do wstrzymania przydziału mieszkań dla wykonawców robót inwestycyjnych. Jednocześnie wstrzymaliśmy przydziały dla naszych pracowników zamieszkujących na terenie LGOM, jak i dla pracowników starających się o poprawę warunków mieszkaniowych. Priorytet w sprawie przydziału mieszkań mają fachowcy zatrudnieni bezpośrednio w produkcji. W związku z tym nie jesteśmy w stanie przekazać na potrzeby PKS żadnych mieszkań z naszej puli".

— Wytłumaczyli się zgrabnie — komentują piamo w PKS — mieszkania dostają rzekomo tylko pracownicy bezpośrednio produkcyjni, a znamy wiele przypadków wręcz przeciwnych...

— Wywieźliśmy pierwszy urobek z lubińskiej kopalni i dowieźliśmy do pracy pierwszych górników — wspomina przewodniczący Rady Robotniczej — o tym się nie pamięta i trzeba się z tym pogodzić, ale dlaczego nikt nie pomyśli, że skoro stale wzrasta liczebnie załoga kopalni, to zwiększa się i liczba przewozów i dojdzie do momentu, w którym z powodu braku ludzi nie zdołamy sprostać zadaniom. Czy nie ucierpi na tym właśnie KGHM? Stanowimy przecież ogniwa tego samego łańcucha...

Szkoda, że o tym samym nie pomyślał nikt z odgórnych, kompetentnych czynników. Całe bowiem, nazwijmy to delikatnie — nieporozumienie, które stoi na drodze przydzielania mieszkań niezbędnie koniecznym pracownikom PKS, zaczęło się od uchwały KERM (nr 167/68), która zobowiązuje resort komunikacji do „zapewnienia sprawnych przewozów osób zatrudnionych w LGOM, jak również ludności tam zamieszkałej ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb komunikacyjnych osób dojeżdżających do pracy między miastami". Natomiast ani słowem nie wspomina się o zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych pracowników PKS, mimo że takim potrzebom, ale jedynie kombinatu poświęcony jest znaczny fragment tejże uchwały.

Trudno powiedzieć kiedy zostanie wreszcie rozsądnie załatwiona ta ważna dla załogi oddziału PKS sprawa. Ostatnio włączył się do niej minister komunikacji, podpowiadając władzom wojewódzkim wyjście z sytuacji — budowę bloku mieszkalnego dla pracowników lubińskiego oddziału.

Na razie jednak brak sygnałów co do dalszych losów tej „podpowiedzi". Szczebel wojewódzki widać jest dalej od spraw regionu niż Warszawa. Czyżby znów trzeba było prosić o pomoc ministra?

M. AJDUKIEWICZ

P.S. Gwoli prawdzie trzeba stwierdzić, że jednak PKS otrzymał przydział mieszkaniowy. Tyle, że jeden (!), a pilnie potrzebnych jest 80. Czy nie zakrawa to na ironię? (M. A.)

WYBIERAMY SOBIE FILM

Ocena krytyki
- ••••• — wybitny,
- •••• — bardzo dobry,
- ••• — dobry,
- •• — dyskusyjny,
- • — słaby,
- ∘ — zły.

Ocena publiczności
- A — bardzo ciekawy
- B — trudny,
- C — dobra rozrywka,
- D — taki sobie,
- E — nudny.

CWF

„Rzeczpospolita babska" — to nowa polska komedia filmowa w reżyserii Hieronima Przybyła. Mnogość dowcipnych sytuacji oraz znana piosenka zapewni powodzenie temu filmowi.

Tytuł filmu	Rodzaj filmu	Ocena krytyki	Ocena publiczn.	Produkcja reżyser i aktorzy	Dodatek
Dlaczego kłamały	dramat obyczajowy	•••	D	prod. francuska 1967, barwny rez: Andre Cayatte wyst: Jacques Brel, Emanuelle Riva.	„Jurek ma okragłe plecy" prod. polska
Miłość i jazz	komedia muzyczna	••••	C	prod. szwedzkiej 1967 barwny rez: Jan Halldoff wyst: Ola Hakansson, Monica Ekman, Thomas Janson.	„Arrasy króla Zygmunta" prod. polska (WFO) barwny.
Kowboju do dzieła	komedia western	••••	C	prod. angielskiej 1965 barwny rez: Gerald Thomas, wyst: Sidney James, Jim Dale, Joan Sims, Angela Douglas.	„Przechodniu uważaj" prod. polska (Czołówka)
Wielki wąż Chingachgook	western	••	D	prod. NRD, barwny szer. ekran. dubbing, rez: Richard Groschopp, wyst.: Gojko Mitic, Ralf Romer, Lilo Grahn.	„Na stacji" prod. polska, barwny (WFO)

LISTY i polemiki

NIE UTRUDNIAĆ ŻYCIA

„SZANOWNA Redakcjo — pisze p. Stanisława Zielińska z Chojnowa — nie tak dawno czytelnik z Chojnowa kontaktował się z Waszą Redakcją w sprawie punktu usługowego optycznego, którego było brak w naszym mieście. Po Waszym artykule punkt taki został otwarty przez rzemieślnika, za co jesteśmy Wam wdzięczni. Jednakże w dalszym ciągu zmuszeni jesteśmy recepty na okulary realizować w Legnicy, albo płacić prywatnie za wykonanie. Po obliczeniu kosztów, jakie się ponosi przy wyjeździe do Legnicy (a trzeba jeździć kilka razy) można dojść do wniosku, że i tak, i tak, ponosi się straty. Dlaczego Wydział Zdrowia nie postara się o to, ażeby to był uspołeczniony punkt optyczny? Myślę jednak, że Wydział Zdrowia powinien iść na rękę swoim podopiecznym, a nie utrudniać im życia. Proszę, o ile to możliwe o poruszenie tej sprawy".

ZA MAŁO SKRZYNEK!

„Zwracam się do Waszej Redakcji z prośbą o interwencję w sprawie korzystania ze skrzynek pocztowych, bo w naszej kamienicy przy ul. Roosevelta 21 w Legnicy nigdy nie można otrzymać w porę korespondencji, a czasem listy wcale nie docierają do rąk adresata ponieważ lokatorów w kamienicy jest więcej aniżeli przegródek w skrzynce pocztowej — skarży się p. Maria Wyrąbkiewicz. — Miałam sporo kłopotów z tego powodu, gdy wezwanie na badanie komisji lekarskiej dotarło do mnie dopiero po wyznaczonym terminie, na którą miałam się stawić. Czy nie można by umieścić drugiej skrzynki pocztowej, aby każdy z lokatorów mógł mieć „swoją" w niej przegródkę?"

DZIĘKUJĄ ZA KOLONIE

SZANOWNA Redakcjo! Wypoczywamy y przepiękne! okolicy górskiej w Staniszowie. Kolonia nasza, zorganizowana przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci w Legnicy, mieści się w Domu Wczasów Dziecięcych nr 2. Czujemy się tu świetnie, organizujemy szereg atrakcyjnych zajęć. Nie ograniczamy się jednak do zabawy. Dla uczczenia XXV-lecia PRL wykonaliśmy czyn społeczny, oceniony przez Komitet Czynów Społecznych na kwotę 6.500 zł; organizujemy spotkania z pionierami Staniszowa, którzy przeszli szlak bojowy od Lenino do Berlina i byli pierwszymi organizatorami życia polskiego w Staniszowie. Chcieliśmy za Waszym pośrednictwem przekazać organizatorom kolonii wyrazy wdzięczności oraz gorące podziękowanie. Samorząd Kolonijny.

(emen)

wiadomości
tygodnik społeczno-polityczny

Redaguje Kolegium w składzie: Władysław Bielowicz (redaktor naczelny) Romuald Nadge, Marian Orzechowski, Ryszard Pollak (sekretarz redakcji) Witalij Stanisławicz (zastępca redaktora naczelnego)

Adres redakcji: Wrocław Podwale 62 telefony 340 31 wewn 353 354 355 Red naczelny sekretarzat 338 84. Biuro ogłoszeń Wrocław ul Podwale 62 Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty, udzielają placówki Ruchu" poczta.

Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Wrocław ul Piotra Skargi 3/5.

Wydawca: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" Wrocław, ul. Podwale 68.

J-2

Ma poparcie

Premier Rodezji Smith zapewniał swoich partnerów w Kapsztadzie (południowa Afryka), że w jego kraju popiera go ponad 80 procent obywateli. Rasistowski premier miał oczywiście na myśli wyłącznie białych mieszkańców Rodezji, których jest 200 tysięcy. 4,5 miliona czarnych mieszkańców darzy go bowiem powszechną nienawiścią.

Klasówka z pornografii

Uczennica Kopenhagi, 17-letnia Dorte Petersen, otrzymała wysoką notę za swoje wypracowanie na dowolny temat. Obrała tytuł: „Pornografia". Praca obfitowała w krytyczne uwagi na temat złego stylu i zbyt niskiego poziomu literatury pornograficznej, przede wszystkim jednak autorka oburza się na pewien stereotyp, w myśl którego bohaterka pikantnych opowiastek musi być z reguły podobna do gwiazdy filmowej. „Dlaczego nikt nie napisze nigdy o jakiejś skromnej, brzydkiej sekretarce?".

Zdobyła serce Prażan

Rozpoczęła swą karierę dość nietypowo — od wyjazdu do Pragi. Koncertu młodej Marii Gregor, szwajcarskiej piosenkarki, zyskały sympatie zwiedzające prażan. Było to rok temu, od tego czasu Marię zasypywano nawet listami miłosnymi. W lipcu tego roku telewizja czeska zaprosiła piosenkarkę ponownie na 3-tygodniowy występ.

„Delirio erotico"

Włochom grozi katastrofa. Maluszko, a miłość nie będzie już dla nich zjawiskiem pociągającym. Aby uchronić przed tą wizją swych współobywateli, reżyser Franco Zeffirelli (46-letni kawaler) wzywa do wyprawy krzyżowej przeciwko złym rozwiązłym scenom erotycznym w filmach. Zeffirelli, znany jest jako reżyser scenicznych i filmowych wersji „Romeo i Julii". To dzieło też uważa za klasyczny poemat głoryfikujący czystą miłość.

Społeczeństwo włoskie które wstrząsane jest „erotycznym delirium" (dziennik „La Sempa") ma do swej dyspozycji szeroki wachlarz ekspanywnych zbodzeń — nimfomanię, sadyzm, sodomię, homoseksualizm, miłość lesbijską, kazirodztwo.

Bojownik o czystość ekranu, Zeffirelli, w tworze wielki postąpił jednak nie fair w stosunku do swoich kolegów, stawiając im często tendencyjne zarzuty. W odwecie opinia publiczna dowiedziała się, że kiedy w 1967 roku reżyser Zeffirelli przystępował do kolejnej ekranizacji Szekspira, w scenie łóżkowej, obok 16-letniego nagiego Romea, upiększał równie nagą 15-letnią Julię. Niestyczne postępowanie wojującego reżysera pociągnęło za sobą wykluczenie go z włoskiego związku reżyserów filmowych.

Na zdjęciu: Scena z włoskiego filmu „Satyricon".

Ucieczka przed więzieniem

Richard Simpson, 47-letni australijski przestępca, umknął w sposób niezwykły spodziewanej karze. Odcinił się z głównym świadkiem oskarżenia. Żona, jak wiadomo, nie musi składać zeznań w procesie męża, oskarżenie natomiast nie posiadało innych dowodów winy.

Tajemnice piany morskiej

Biolog ukraiński Nadiezda Cziikina z Odessy zajęła się badaniem własności piany morskiej. Okazało się, że nie jest to zagadnienie prosie ani błahe. Substancje, z któ[illegible] powstaje piana morska, mogą pobudzać lub hamować rozmaite procesy biologiczne. Doświadczenia dowiodły, że preparaty pochodzące z piany morskiej przyczyniają się do pobudzania czynności fizjologicznych głonów zielono-niebieskich, przyspieszają rozwój zarodkowy bezkręgowców morskich i ryb (np. sardeli, byczków), podnoszą żywotność wielu organizmów morskich (np. krewetek). Mogą również pobudzać rozwój roślin wyższych, na przykład jęczmienia, owsa i pszenicy. Można powiedzieć, że w pianie morskiej mamy naturalne katalizatory życia w oceanach.

Ewangelicka terapia?

Zachodnioniemieckie pismo „Komentarze Ewangelickie" zaleca, dla uzdrowienia chorych lub apatycznych małżeństw, pewny środek zapobiegawczy: „Od czasu do czasu elegancki, dyskretny skok w bok". O ile się nie mylimy, również i członkowie innych wyznań a także i bezwyznaniowcy hołdują tej metodzie teczenia.

W czym na plażę?

Anna — Maria Azzopardi, młoda włoska aktorka filmowa, proponuje kostiumy kąpielowe o zabawnych nazwach: „Kapiel o północy", „Tak na zawsze", „Spotkanie w lecie". Zwłaszcza na ostatnią propozycję jesteśmy skłonni przystać...

AUTENTYKI

A TO CI DOPIERO...

W „Życiu Warszawy" Andrzej Wróblewski złożył następujące oświadczenie w artykule „Srebrne gody piosenki":

„...nie da się zaprzeczyć, że festiwal opolski poruszył społeczeństwo w nie mniejszym stopniu, niż wydarzenie wagi państwowej".

Cóż to będzie za trzydzieści parę lat?

DISCE PUER...

W „Trybunie Robotniczej" przeczytaliśmy takie ogłoszenie:

„Przepraszam ob. Marię Biernacką oraz Irenę Ujma za obraźliwe napisy pod ich adresem. Uczeń Witold Warzyński".

Oto do czego prowadzi realizacja hasła „Disce puer..." Nauczył się chłopaczek, co?

PRETENSJE, ŻE TYLKO JEDEN?

Z komunikatu PAP dowiedziałem się, że Zarząd Polskiego Związku Kolarskiego skreślił z kadry olimpijskiej za brak postępów trzech zawodników wrocławskiej Sparty. Zarząd zwrócił się do Sparty o ocenę pracy trenera.

I słusznie! Mógł przecież podchować nie jednego, ale ze czterech Kierzkowskich!

W DOMU — SPOKÓJ

Z wywiadu z W. Sokorskim w tygodniku „RTV":

„— (...) Czy Pan Prezes często słucha radia i ogląda telewizję?

— (...) Najczęściej słucham i oglądam nie w domu, lecz w Komitecie: te programy, które budzą jakieś wątpliwości i które trzeba poznać przed ich zatwierdzeniem na antenę".

Panu Prezesowi dobrze! W domu ma spokój.

SPECJALISTA OD SPANIA

„Królowa sportu śpi, a co gorsza nie jest to — jak się wydaje — krzepiący sen, z którego przebudzenie powoduje eruperę energii, lecz raczej starcza drzemka, z której przebudzenie często się w ogóle nie zdarza" — pisze FAUL w „Świecie" o naszej lekkiej atletyce.

„A hodaj ci nóżka spuchła" — powtórzę za Fredrą. Gdyby tak się stało, FAUL miałby pewne trudności z procesem przenoszenia swych myśli na papier.

Z CZEGO SIĘ ŚMIEJĄ W ZSRR

Nie każdy bóg ma ołtarz, ale każdy przyjmuje dary.

*

Ludzie, którzy niczego nie potrafią, zdolni są do wszystkiego.

*

Nawet niedźwiedź zostaje przyjacielem zająca, jeżeli ten ma garniec miodu.

(„Litieraturnaja Gazieta") WL.

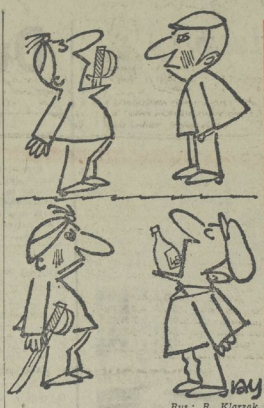

Rys.: R. Klarczak

Andrzej Waligórski

SZANTAŻYK

Jeśli żona mężowi czasem grozi kopyścią,
Łatwo pojąć intencję, która w ruchu tym jest —
Minimalny szantażyk z minimalną korzyścią,
Tradycyjny, seryjny, rytualny wręcz gest.
Żona nie chce, by z kumplem szedł na piwo jej starszyk,
Innych środków wyrazu w danej chwili jej brak,
Korzyść stąd równie mała jak ten mały szantażyk,
W sumie cały ów problem maćupeński jak mak.
Czasem sprzeczka wybucha w biurze, albo i w barze,
Różne słowa padają, a wśród innych i to:
— Czy pan wie, kto ja jestem? Już ja panu pokażę!
Przyczem nie precyzuje,co pokazać nam chce.
Cóż, słuchamy ze złością, ale nie z nienawiścią,
Wszyscy już przywykli do utartych tych zdań,
Minimalny szantażyk z minimalną korzyścią,
Wiemy — gość nic nie może, ale straszy nas drań.
Jeśli jednak coś może? Jeśli to sekretarzyk
Sekretarki ministra albo posła, to co?
Dajmy odnieść mu korzyść małą jak ten szantażyk,
Zlekceważmy to zajście, takie drobne jak źdźbło.
I w miłości się zdarza takich spraw dosyć wiele,
Gdy ktoś w naszej osobie znajdzie uczuć swych cel
I powiada: — Nie zechcesz, to się zaraz zastrzelę!
Patrząc na nią — lub niego — myślę sobie: — To strzel!
Lecz po chwili rozważam: — Miłość, gdy zacznie gryźć ją,
Gotów — albo gotowa — strzelić w łeb, względnie w biust...
Minimalny szantażyk z minimalną korzyścią,
Ale lepiej bliźniemu nie odmawiać... hm... ust...
Więc idziemy jak cielę w okolicny pejzażyk,
Lebo ti też do chaty podążamy tup, tup,
Minimalna to korzyść, minimalny szantażyk,
Ale po co sumienie ma obarczać nam trup?
Szumią lany jak rany, dymią liczne fabryki,
Rozkwitają budynki biur, uczelni i hut,
Nieustannie drobniutkie dzielą się szantażyki.
Z których minikorzyści tu i tam ciągnie lud.
Jaki ze mnie poeta? Jam nie Przyboś, ni Ważyk,
Nie mam dużych wymagań, skromny starczam mi byt,
A ten wierszyk, to taki minimalny szantażyk,
Korzyść zaś — honorarium takie ciupcie, aż wstyd...

Bruno Brożyniak

TRZY SPOSOBY ODCHUDZANIA

Żyjemy coraz lepiej, żyjemy coraz szybciej. Urątować nas mogą trzy wypróbowane sposoby odchudzania.

Sposób hindiski, bardzo radykalny. Przyjmujemy pozycję 17 jogi i nic nie jemy aż do zamiany w szkielet. Po zamianie w szkielet jedzenie przestaje nas całkowicie interesować, co jest dodatkową zaletą tej metody.

Sposób polski. Siadamy na jakimś nowoczesnym, bardzo niewygodnym fotelu produkcji spółdzielni „Własna Kieszeń" i wyobrażamy sobie, że wszyscy nasi przyjaciele, znajomi, sąsiedzi dostali ogromne podwyżki pensji, awanse, odznaczenia, wygrane w „totka" „fiaty 125". Z miejsca zalewa nas żółć i marnieejemy w oczach. Dodatkową udrękę sprawia nam nowoczesny fotel z pięcioma nóżkami, z których dwie gniotą nas w krzyże, znacznie przyśpieszając spadek wagi.

Sposób tatarski. Kupujemy pół kg mięsa z nielegalnego uboju i sporządzamy tatara. Konsumujemy tatara, pilnie bacząc, aby nie uszkodzić bezmyślnie tasiemca. Sprawny tasiemiec z łatwością pozbawi nas 1/4 wagi ciała. Korzyść dodatkowa. Wypożyczamy tasiemcę biednej polskiej TV, gdzie służy jako zastępcza kobra.

tv

czwartek

13.00 — Matematyka w szkole. 16.45 — Przypomnimy, radzimy. 16.50 — Dziennik. 17.00 — TV Kurier Lubelski. 17.30 — Wodowanie Statku Apollo 11. 18.30 — „Muzyka na dwa fortepiany" program muzyczno-wokalny. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.05 — — Szlakiem wielkich przemian. 20.35 — „BS-3815" film prod. NRD. 22.00 — Magazyn Medyczny. 22.30 — Dziennik.

piątek

10.00 — „Schody do nieba" film prod. radz. 16.30 — Dziennik. 17.00 — Teleferie. 18.30 — TV Kurier Mazowiecki. 18.45 — „Kluczę do M.T". 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.10 — „Schody do nieba" film prod. radz. 21.40 — Kontakty. 22.10 — Dziennik.

sobota

10.00 — „BS-3815" film prod. NRD. 16.30 — Dziennik. 17.00 — „Tramp" magazyn turyst.-krajoznawczy. 17.30 — Gawędy wilków morskich. 17.35 — „Na jarmarku" widowisko regionalne z Krakowa. 18.15 — Pegaz - magazyn kulturalny. 18.55 — „Kuba 69" rep. filmowy z Kuby. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Monitor. 20.10 — Nowela filmowa. 20.35 — „Letnia piosenka" finał konkursu z Belgradu. 21.35 — Dziennik i wiadomości sportowe. 21.55 — Kino Interesujących Filmów „Anatomia morderstwa", film prod. USA.

niedziela

9.05 — Przypominamy, radzimy. 9.35 „Cafe Rose" (Stawka większa niż życie). 10.25 — Na zdrowie. 11.00 — „Sztuka starożytnych Cruzów" film prod. radz. 11.20 — Kronika 50-lecia Kraju Rad — Rok 1945. 11.50 — Dziennik. 12.05 — „W stylu romantycznym" koncert solistów i zespołów kameralnych. 12.50 — Przemiany. 13.20 — „W starym kinie" (Mała historia filmu polskiego). 14.20 — „Ojciec i syn" — film. 13.00 — „Zawsze w niedzielę" Turniej Miast — Bolesławiec — Złotoryja. 17.00 — Uroczysty Koncert na zakończenie Dni Kultury Polskiej w ZSRR. 18.20 — „Polacy na świecie" teleturniej. 19.30 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.05 — Szlakiem wielkich przemian. 20.35 — PKF. 20.45 — Teatr TV na świecie „Angielski klimat" widowisko TV angielskiej. 21.45 — Filmowy program rozrywkowy. 22.15 — Wiadomości sportowe.

poniedziałek

16.50 — Dziennik. 17.00 — Opowieści ze świata zwierząt. 17.25 — Z drugiej strony szklanego ekranu. 17.40 — Echo stadionu. 18.00 — Rozmaitości. 18.15 — Program popularnonaukowy. 18.25 — „Tylko trzy lekcje" — film radz. 18.45 Mag. postępu technicznego. 19.50 Dobranoc. 19.30 Dziennik. 20.10 Teatr TV — „Miłość dwu Perlimplina do Belisy w jego ogrodzie" — komedia F.G. Lorki. W roli głównej: BRONISŁAW PAWLIK. 21.15 — Miasto nad Odrą. (Wrocław). 21.45 — „W letnim nastroju" — film radz. 22.15 — Dziennik.

wtorek

10.00 — „Dama w tramwaju" — film. czech. 16.45 — Dziennik. 16.55 — „Basetla z kory" — film. 17.15 — ZEM. 18.20 Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.10 — Warchlaczki TV, Nasi uczeni. 20.40 — „Dama w tramwaju" — film czech. 22.00 — Za kierownicą. — Dziennik.

środa

10.00 — „Wujek Pat" (film z serii "Scigany"). 16.40 — PKF. 16.50 — Dziennik. 17.00 — Teleferie. 18.30 Telewizyjny Kurier Warszawski. 18.45 Światowid. 19.50 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.15 — Międzynarodowe Zawody Lekkoatletyczne. Europa—Ameryka. 22.15 — Dziennik. 22.30 — „Wujek Pat" (film z serii „Scigany");

TVP zastrzega sobie możliwość zmian w programie.

Prawie jak z tej ziemi

OPOWIEŚĆ RYSUNKOWA KRYSTYNY WÓJCIK